

Łukasz Wierzbicki

AFRYKA KAZIKA



AFRYKA
KAZIKA

Łukasz Wierzbicki

**AFRYKA
KAZIKA**

ilustracje

Agencja Reklamowa NEXUS:

Marcin Leśniak

Marcin Ćwikła

Krzysztof Rusinek

rysunki

Beata Kulesza-Damaziak



bis

Warszawa 2013

Projekt okładki i opracowanie graficzne
Beata Kulesza-Damaziak, KARANDASZ s.c.

Ilustracja na okładce
Agencja Reklamowa NEXUS

Fotografie
z archiwum Autora

Korekta
Katarzyna Nowak

Copyright © Łukasz Wierzbicki 2008
Copyright © Wydawnictwo BIS 2008

ISBN 978-83-7551-345-5

Wydawnictwo BIS
ul. Łędzka 44a, 01-446 Warszawa
tel. (0-22) 877-27-05, 877-40-33; fax (0-22) 837-10-84
e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl



Pociąg ekspresowy z Warszawy Centralnej wjechał na tor pierwszy przy peronie pierwszym. Komunikat z dworcowych głośników rozległ się dokładnie w tym samym momencie, w którym kobieta z chłopcem pojawili się na peronie.

– Dziadek! Dziadek jedzie! – zawołał chłopiec, wskazując pociąg, który wtaczał się na tor i hamował z głośnym piskiem. Pociąg zatrzymał się. Z wagonów wyskakiwali pasażerowie i w pośpiechu udawali się w kierunku hali dworcowej.

– Chyba rozpoznaję bagaż dziadka. – Mama wskazała wielką zieloną walizę, która ukazała się w drzwiach jednego z wagonów i powoli zsuwała się po schodkach. Miała rację, w ślad za walizką w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta twarz dziadka.

– Witajcie, kochani! Dzień dobry, córeczko! Czołem, wnusiu!
– wykrzyknął starszy pan na widok chłopca i jego mamy, po czym uściskał oboje.

– Jak ci minęła podróż? – dopytywała mama. – Nie jesteś zmęczony? Naprawdę, w twoim wieku nie powinienes już tyle podróżować.

– Wiem, wiem, najchętniej zamknęłabys mnie w domu, usadziła w fotelu przed telewizorem i nie pozwoliła nigdzie wyjeżdżać – roześmiał się dziadek.

– Dziadku, poniosę twoją walizkę – zaoferował pomoc Krzys.

– Spróbuj, proszę. Obawiam się jednak, że jest zbyt ciężka.

Krzys chwycił za rączkę walizki. Rzeczywiście, nie był w stanie jej unieść.

– To walizka dwuosobowa. Pociągniemy ją razem i jakoś sobie poradzimy – zaproponował dziadek.

Udali się w stronę zaparkowanego przed dworcem samochodu. Przodem maszerowała mama, a za nią dziadek i Krzys ciągnęli wspólnie ogromną zieloną walizkę. Gdy weszli do hali dworcowej, ujrzeli grupę ludzi wyglądających, jakby czekali na coś ważnego, na pewno jednak nie na pociąg, wpatrywali się bowiem w pustą ścianę na wprost wejścia głównego na dworzec. Wśród zebranego tłumu była grupa rowerzystów z lśniącymi rowerami, ludzie z kamerami i mikrofonami, a także zwykli gapie.

– Poczekajcie, kochani. Tu chyba dzieje się coś ciekawego.

– Dziadek zatrzymał się. – Przepraszam bardzo, na co państwo czekają? – zapytał stojącą w grupie kobietę z dzieckiem na ręku.

– Ciii... – odpowiedziała i położyła palec na ustach.

W tym samym momencie w bocznym wejściu pojawił się elegancko ubrany, niewysoki starszy pan. Zebrani zaczęli bić brawo. Mężczyzna szedł powoli drobnymi kroczkami, rozglądając się na boki. Kierował się ku zawieszonej na kamiennej ścianie przysłoniętej tablicy. Uśmiechał się do wszystkich i pozdrawiał ludzi z daleka.

– Kim jest ten pan? – spytał głośno chłopiec.

– Ciii... – Kobieta z dzieckiem na rękę ściągnęła brwi i spojrzała na niego karcącym wzrokiem. – To Ryszard Kapuściński – szepnęła. – Przyjechał do Poznania, by odsłonić tablicę...

– Kto to jest Ryszard Kapuściński? – Chłopiec szeptem zadał kolejne pytanie.

– To wielki polski reporter, znany pisarz i podróżnik – odpowiedział dziadek na ucho.

– Nic nie widzę – poskarżył się Krzyś.

– Stań na mojej walizce, jest solidna. – Dziadek podsadził wnuka.

Krzyś wskoczył na ustawioną pionowo walizę, chwytając jednocześnie dziadka za ramię, by nie stracić równowagi. Stojąc na podwyższeniu, miał doskonały widok na wiszącą na ścianie



tablicę i stojącego obok niej starszego pana, który przemawiał do zebranych wokół ludzi:

...siedemdziesiąt lat temu Kazimierz Nowak powrócił z niezwyklej wyprawy. Samotnie przejechał rowerem dziką i nieznaną w tamtych czasach Afrykę. Był człowiekiem o ogromnej odwadze, podróżnikiem nieustraszonym. Udało mu się dokonać rzeczy wielkiej, bowiem chował w swym sercu życzliwość i wiarę w drugiego człowieka...



Chłopiec słuchał tych słów jak zaczarowany. Pan skończył mówić i ściągnął na ziemię pas niebieskiego materiału, osłaniający tablicę. Ludzie znów bili brawo, chłopiec również zaczął klaskać z całych sił. Ktoś wręczył mówcy kwiaty, do wiszącej na ścianie tablicy podeszła grupa ludzi z rowerami i zrobiła sobie pamiątkowe zdjęcie.

– Mamo, dziadku, czy mogę obejrzeć z bliska tę tablicę? – poprosił Krzyś, zeskakując z walizki. Mama tylko się uśmiechnęła. Podeszli do przymocowanej do ściany tablicy.

– Dlaczego ma taki dziwny kształt? – spytał chłopiec.

– To kontur Afryki – odparł dziadek.

Zebrani wokół ludzie rozchodzili się, rowerzyści wyprowadzili rowery, jeszcze tylko kilka osób krzątało się dookoła. Chłopiec pogłaskał dłonią wypukłą linię ciągnącą się w poprzek tablicy.

– To szlak podróży Kazimierza Nowaka – wyjaśnił dziadek.

– Kazimierza Nowaka – powtórzył szeptem chłopiec. – Opowiadałeś mi kiedyś o tym nieustraszonym podróżniku, prawda, dziadku? – upewnił się.

– Tak, to właśnie o tym podróżniku ci opowiadałem – ucieszył się dziadek, zadowolony, że wnuk zapamiętał jedną z opowiadanych przez niego historii. – Mamy gdzieś książkę opisującą jego przygody. Poszukamy jej, gdy dojedziemy do domu.

Skierowali się ku wyjściu, wspólnie dowlekli walizę do samochodu i wepchnęli ją do bagażnika. Krzyś usiadł na tylnym siedzeniu i przypiął się pasami, przez cały czas rozmyślając o niecodziennej scenie na dworcu.

Oto niespodziewanie zobaczył na własne oczy, jak znany pisarz odsłania tablicę pamiątkową w kształcie Afryki.

Po powrocie do domu wspólnie z dziadkiem zaciągnęli walizę do pokoju, rzucili ją na podłogę, po czym natychmiast udali się





do stojącej w salonie wielkiej szafy z książkami i zaczęli oglądać tytuły na ich grzbietach.

– Jest! – wykrzyknął dziadek, ściągając z półki jedną z książek. – To właśnie historia podróży Kazimierza Nowaka.

Krzyś wziął książkę do rąk i przyjrzał się uważnie barwnej okładce, z której uśmiechał się do niego brodaty mężczyzna w kasku tropikalnym na głowie.

– *Afryka Kazika* – przeczytał na głos tytuł, otworzył książkę, przeczucił kilka stron i rozpoczął czytanie pierwszego rozdziału: – *Ruszam do Afryki...*



Trasa podróży
Kazimierza Nowaka
w latach
1931-1936





◦ RUSZAM DO AFRYKI ◦

Przeciągły gwizd przypomniiał wszystkim podróżnym, że zostało pięć minut do odjazdu pociągu. Za pięć minut rozpocznie wielką podróż do Afryki; w wagonie bagażowym czekał już mój stary wysłużony rower.

Spytacie pewnie, jak zrodził się w mej głowie szalony pomysł, by rowerem ruszyć na podbój dzikich krajów? Jako dziecko uwielbiałem słuchać historii o dalekich krajach i egzotycznych przygodach. Dorosłem, urosła mi długa broda, a głowa niemal zupełnie wyłysiała, wciąż jednak tak samo jak w dzieciństwie fascynują mnie dalekie kraje i egzotyczne przygody. Zarabiam na życie, pisząc artykuły i robiąc zdjęcia dla gazet. W trakcie moich podróży spotkałem wielu innych podróżników, którzy opowiadali niezwykle historie o dzikiej Afryce. Mówiono mi, że żyją tam ludożercy i roi się od drapieżnych zwierząt, a że każdemu podróżnikowi marzą się egzotyczne przygody, podjąłem plan wyprawy do Afryki, by zbadać, ile w tych opowieściach



kryje się prawdy. Postanowiłem udać się do Afryki rowerem, jakże bowiem miałbym odmówić udziału w tej niezwykłej wyprawie kompanowi, który wiernie towarzyszył mi we wszystkich wcześniejszych podróżach?

Rodzina bardzo się martwiła, czy nie spotka mnie nic złego w czasie wyprawy, a najbardziej załamywała ręce moja żona Marysia.

– Oj, Kazik... – mówiła, gdy wraz z dziećmi żegnała mnie na dworcu kolejowym. – Jak ty sobie poradzisz w tych dalekich krajach wśród obcych ludzi?

– Wszystko będzie dobrze, moja Maryś – uspokajałem ją. – Znam przecież kilka języków obcych, bez problemu dogadam się z ludźmi.

– A co zrobisz, gdy spotkasz w Afryce ludożerców albo lwa?

– Poradzę sobie. I z ludożercami, i z lwem można się przecież zaprzyjaźnić – żartowałem, by ją uspokoić.

– Tata, przywieziesz mi zdjęcie lwa? Proszę... – Synek szarpał mnie za nogawkę.

– Tato, a mnie przywieź małąkę – prosiła córeczka.

Z całych sił uściskałem dzieci na pożegnanie. Pociąg za chwilę miał ruszyć.

– A co tobie przywieźć z Afryki? – spytałem żonę z uśmiechem.

– Niczego nie potrzebuję. Przysyłaj listy, byśmy wiedzieli, co się z tobą dzieje. I wracaj szczęśliwie jak najszybciej – odpowiedziała Marysia z troską w głosie.

– Będę pisał codziennie. I wrócę zdrów i cały. Obiecuję!
Kolejny głośny gwizd przerwał naszą rozmowę, lokomotywa szarpnęła wagony.

– Tata, pociąg odjeżdża! – krzyknął synek, wskazując lokomotywę.

Ucałowałem żonę i w pośpiechu wskoczyłem do ruszającego pociągu.

– Do zobaczenia!!! – krzyczałem na cały głos, stojąc w drzwiach wagonu i machając kapeluszem na pożegnanie.

Pociąg tymczasem nabierał rozpędu, rodzina stojąca na peronie robiła się coraz mniejsza i mniejsza, po chwili znikła w oddali. Tuk-tuk... tuk-tuk... tuk-tuk... stukały koła po torach. Poznań oddalał się z każdą minutą, a przybliżała się tajemnicza Afryka.

Czy uda mi się sfotografować lwa, czy przywiozę małą dla mojej córeczki? Nie wiedziałem, ale wiedziałem, że spełnię prośbę mojej żony – na pewno wrócę cały i zdrowy do domu. Przecież obiecałem!



◦ NOC NA PUSTYNI ◦

Pociąg jechał cały dzień i całą noc. Następnego ranka zjechałem na dworzec w Rzymie, skąd udałem się rowerem do portu morskiego w Neapolu. Stamtąd statkiem zamierzałem przepłynąć się przez morze do Afryki.

Zabuczała syrena okrętowa, statek ruszył ku brzegom Afryki... Serce zadrżało mi na myśl o wszystkich niebezpieczeństwach, które na mnie czekały. Oto płynąłem na spotkanie wielkiej przygody!

Okręt bujał się na falach to w prawo, to w lewo, to w lewo, to znów w prawo... Stare poczwiwe rowerzysko dobrze znosiło żeglugę, ale ze mną było nie najlepiej, od ciągłego kołysania kręciło mi się w głowie. Cały rejs przeleżałem w kajucie na łóżku, toteż gdy tylko dobiliśmy do brzegu, z ulgą czmychnąłem ze statku. Jak dobrze było postawić stopę na stałym lądzie!

Sprawdziłem starannie przymocowane do roweru pakunki, wciągnąłem w płuca gorące powietrze niesione przez wiatr znad pustyni, usiadłem na siodełku i poklepałem mój rower po kierownicy.

– Zatem w drogę, staruszkule – powiedziałem.

Niestety, droga, którą ochoczo ruszyliśmy przed siebie, skończyła się zaraz za miastem. Wkrótce otoczyła nas pustynia. Koła roweru zapadały się głęboko, na dodatek wichur sypał piaskiem w oczy. Oto, jak witała mnie Afryka!

Postanowiłem przeczekać wichurę. Ustawiłem namiot, rozpałiłem ognisko i zagotowałem wodę na herbatę. Ułożyłem się do snu, wsłuchując się na dobranoc w wycie wiatru pośród skał i szczekanie hien, zwołujących się na nocne łowy. W środku nocy obudził mnie dziwny odgłos stukania. Nasłuchiwałem przez chwilę z zamkniętymi oczyma. To moje zęby szczękały z zimna! Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem nad głową gwiazdy.

Co się stało?! – pomyślałem. Kładłem się spać w namiocie, a teraz mam niebo nad głową! Gdzie mój namiot, u licha!

To wichur-dowcipniś porwał namiot i uniósł w dal niczym latawiec, pozbawiając mnie dachu nad głową. Ruszyłem na poszukiwanie. Kto wie, jak daleko pofrunąłby mój namiot, może na koniec świata, gdyby nie zatrzymały go kolczaste krzewy pustynne. Wyplątałem płótno spośród gałęzi i rozstawiłem raz jeszcze, a wbite w ziemię kołki zabezpieczyłem ciężkimi kamieniami, których wiatr na pewno nie ruszy. Wczołgałem się do środka i zawiązałem w koc. Nie zdążyłem zasnąć, gdy usłyszałem odgłos drapania.



To się nazywa noc pełna przygód! – pomyślałem. Co znowu?!
Uniosłem głowę i ujrzałem małego skoczka pustynnego, który
usiłował umościć sobie w moim kocu ciepłe legowisko. Po chwili
sympatyczny gryzoń zwinął się w kłębek na moim brzuchu

i zasnął, mrużąc cichutko. Niełatwo w tak wietrzną noc znaleźć na pustyni bezpieczne schronienie, pozwoliłem więc zwierzątkowi spędzić noc razem ze mną, tym bardziej że i mnie było cieplej z tym puszystym kłębuszkiem u boku.

Spaliśmy smacznie, dopóki nie obudziły nas poranne promienie słońca, zagładające przez szparę do namiotu. Wstawał nowy dzień, wicher ustał, mogłem ruszyć w dalszą drogę.

Skoczek pustynny przysiadł przed namiotem i wygrzewał się w porannym słońcu. Na pożegnanie podarowałem mojemu małemu przyjacielowi garść orzechów. Zaczął je chrupać w pośpiechu. Na pustyni trudno znaleźć schronienie, ale jeszcze trudniej o pożywienie. Tu każdy orzeszek jest na wagę złota.



WOJOWNICY

Z każdym dniem wędrówki przez rozgrzaną słońcem pustynię rower mój stawał się lżejszy, nie cieszyło mnie to jednak ani trochę, z każdym dniem po prostu ubywało jedzenia i wody. Wreszcie skończyły się skromne zapasy. Nie miałem co jeść, w skórzanych workach kończyła się woda. Martwiłem się, jak przeżyję najbliższe dni, bowiem do najbliższej oazy, w której mógłbym uzupełnić prowiant, było bardzo daleko.

Na dodatek obawiałem się spotkania z groźnymi wojownikami pustyni, na których można się natknąć w tych stronach. Słyszałem wiele strasznych opowieści o tym, jacy są dzicy i okrutni. Ledwie pomyślałem o tym niebezpieczeństwie, gdy ujrzałem jadących na wielbłądach wojowników o ciemnych twarzach. Jeźdźcy podążali w moim kierunku. Po chwili otoczyli mnie, krzycząc jeden przez drugiego, a każdy z nich trzymał w ręku broń i mierzył groźnie w moją stronę. Najgłośniej krzyczał dowódca i wymachiwał największą ze wszystkich strzelbą.





Z trudem opanowałem strach i zawołałem do nieznajomych:

– Dzień dobry!

Zamiast odpowiedzi usłyszałem wrzask dowódcy:

– Masz przy sobie broń, biały człowieku?!

– Nie mam, bo nie jest mi do niczego potrzebna – odpowiedziałem. – Nie jestem żołnierzem. Mam na imię Kazik i jestem podróżnikiem z Polski.

– Jeśli kłamiesz i znajdziemy w twoim bagażu broń, marny będzie twój los! – krzyknął dowódca.

Dwóch mężczyzn zeskoczyło z wielbłądów i zaczęło przeszukiwać przymocowane do mojego roweru tobołki i tobołeczki. Gdy okazało się, że nie mam żadnej broni, a jedynie starą siekierę do ścinania gałęzi na ognisko, wojownicy rozchmurzyli się. Zrozumieli, że jestem biednym wędrowcem i nie mam złych zamiarów.

– Czy masz wodę, panie Kazik? – spytał dowódca.

– Nie mam. Może kilka kropel znajdzie się w moich skórzanych workach. Weźcie, jeśli potrzebujecie – odrzekłem.

Wtedy stało się coś niespodziewanego. Dowódca uśmiechnął się tajemniczo, a wojownicy, nie mówiąc słowa, sięgnęli do juków przymocowanych na grzbietach wielbłądów i wyciągnęli z nich sakwy z jedzeniem. Napelnili moje puste worki świeżą wodą, a do torby wsypali mąkę, daktyle, liście herbaty i cukier.

– Na pustyni nie można zostawiać człowieka bez jedzenia i wody – uśmiechnął się dowódca i dał znak swym towarzyszom.

Pragnąłem podziękować za nieoczekiwany podarunek, ale wojownicy nie czekali na podziękowania. W pośpiechu dosiedli wielbłądów, pozdrowili mnie, popędzili zwierzęta i po chwili galopowali już przez pustynię, a ja spoglądałem, jak znikają w oddali.

Znów zostałem sam. Pchnąłem rower i powędrowałem przed siebie, rozmyślając nad niespodzianką, która mnie spotkała. Niedawno podzieliłem się jedzeniem ze skoczkiem pustynnym, który schronił się na noc w mym namiocie, a gdy sam byłem w potrzebie, spotkałem ludzi, którzy pomogli mi, ofiarowując wodę i jedzenie. Nauczyłem się, że wojownicy pustyni w rzeczywistości nie są wcale tacy groźni, jak w tych wszystkich strasznych historiach, które się o nich opowiada.



◦ CIEMNE OKULARY ◦

Kiedyś wyobrażałem sobie, że pustynia to monotonna kra-
ina pustkowi, pośród których nie ma nic ciekawego. W cza-
sie podróży przez Afrykę przekonałem się, że to nieprawda.
Na pustyni znaleźć można miejsca pełne różnobarwnych kamie-
ni, skały o fantastycznych kształtach i niebotyczne góry złotego
piasku, a także miejsca, gdzie piasek jest bielutki niczym śnieg.

Przemierzałem taką właśnie białą pustynię, gdy nagle jakby
chmura przysłoniła mi widok. Przecierałem oczy, nic jednak nie
pomagało. Nie widziałem nawet własnej dłoni! Traciłem wzrok!
Jak przez mgłę ujrzałem w oddali ciemną niewyraźną plamę.
Udałem się w tym kierunku. Nie pamiętam, jak długo szedłem,
potykając się o kamienie, aż w końcu usłyszałem ludzkie głosy
i szelest liści palm. Dotarłem do oazy!

– Ratunku! – wołałem. – Pomóżcie, proszę!

Jacyś ludzie wybiegli mi na spotkanie, ale ja niczego już nie widziałem. Ktoś pomógł mi prowadzić rower, ktoś inny wskazywał drogę do gabinetu doktora. Po chwili siedziałem na krześle i wsłuchiwałem się w odgłosy krzątania doktora po gabinecie. Choć był środek dnia i oczy miałem szeroko otwarte, widziałem tylko ciemność.

– Panie doktorze, nic nie widzę! Oślepiłem na pustyni – tłumaczyłem.



– Wszystko będzie dobrze – usłyszałem uspokajający głos. – Posmarujemy oczy lekarstwem, założymy bandażę i za dwa dni będzie pan zdrow!

– Co się stało? Dlaczego przestałem widzieć?

– To częsta w tych stronach choroba. Biały piasek niczym lustro odbija promienie słońca. Jeśli człowiek nie nosi ciemnych okularów chroniących oczy przed słońcem, po pewnym czasie traci wzrok.

– Miałem wielkie szczęście, że znalazłem drogę do oazy i spotkałem pana, doktorze.

Doktor roześmiał się, otworzył szafę, wyciągnął coś z szuflady i podał mi. To były okulary!

– Niech pan pamięta, by zakładać je zawsze, gdy świeci słońce.

– Na pewno będę o tym pamiętał. Nie chciałbym po raz drugi utracić wzroku – odpowiedziałem.

– Tak to jest. – Doktor znów zaczął się śmiać. – Dopiero gdy człowiek zachoruje, zaczyna dbać o swoje zdrowie.

Po dwóch dniach, dokładnie tak jak mówił doktor, odzyskałem wzrok i mogłem kontynuować podróż. Odtąd zawsze już pamiętałem, by zakładać ciemne okulary i chronić w ten sposób oczy przed ostrym afrykańskim słońcem.

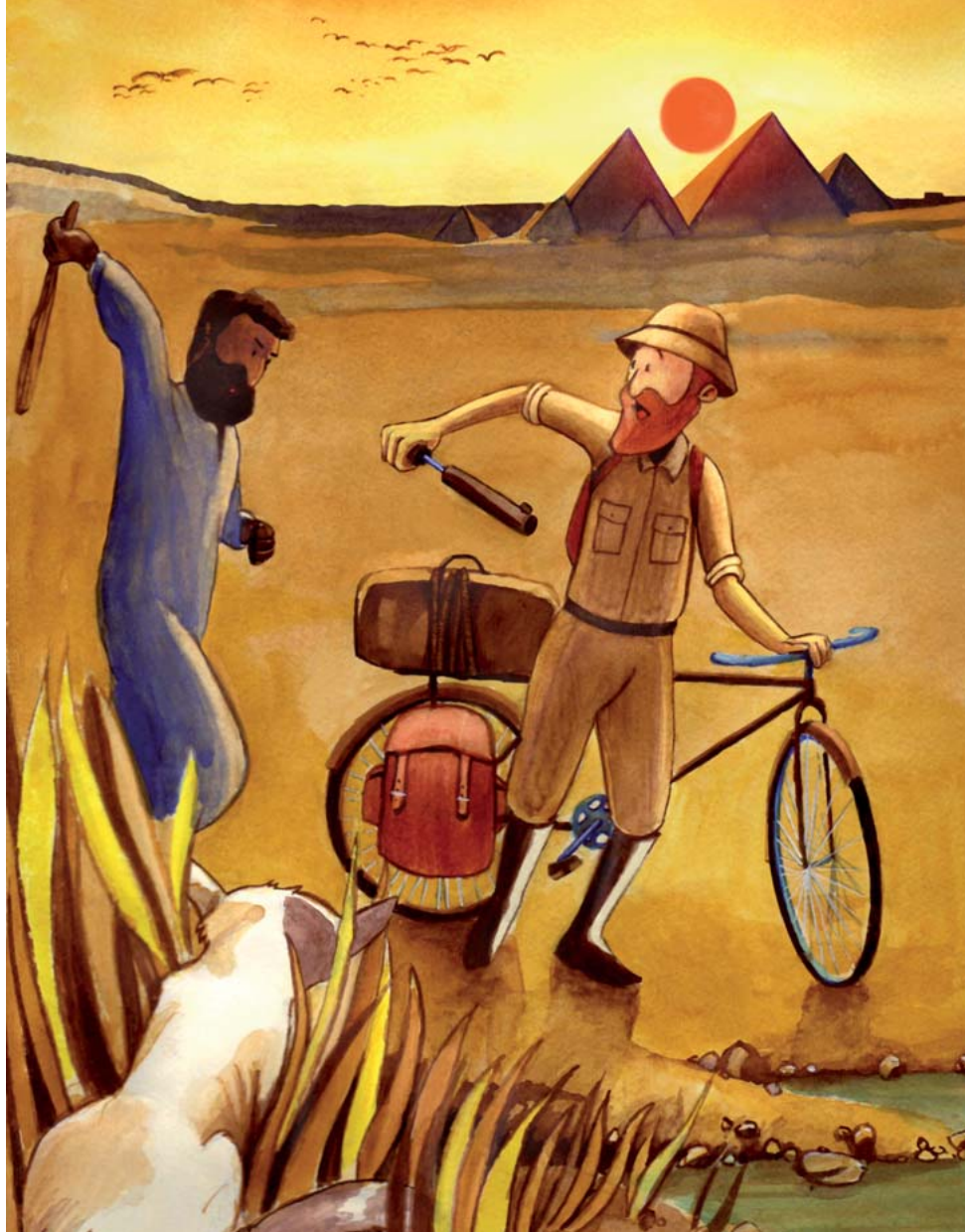
◦ LIST Z NAD NILU ◦

Dotarłem do Egiptu, kraju wielkich piramid, tajemniczego Sfinksa i potężnej rzeki Nil. Wody Nilu dają życie całej tej krainie, nawadniają pola, gaszą pragnienie ludzi i zwierząt, a i ja nieraz piłem wodę prosto z rzeki, gdy zmęczony wędrówką zatrzymałem się nad jej brzegiem.

Spotkała mnie dziś nieprzyjemna przygoda, a właściwie dwie, ale najpierw opowiem o pierwszej. Otóż zbliżał się wieczór, a ja rozglądałem się za miejscem na rozbicie namiotu, by odpocząć po całonocnym marszu, gdy poczułem uderzenie w plecy. Odwróciłem się i ujrzałem, że miejscowy złodziejaszek, myśląc pewnie, że wiozę w bagażu nie wiadomo jakie skarby, wymachuje kijem.

– Ty bandyto! – krzyknąłem i sięgnąłem po schowaną w torbie pompkę do roweru, by bronić się przed kolejnymi ciosami.

Na widok pompki złodziej pomyślał chyba, że wyciągam jakąś groźną broń, bo uciekł przestraszony i na szczęście więcej się nie pokazał.



Zmęczony dowlokłem się nad rzekę i rozbiłem obóz. Wyciągnąłem z torby jajka, ananasy, banany oraz kozie mleko, usmażyłem omlet, po czym ustawiłem nad ogniem garnek z mlekiem i korzystając z wolnej chwili, zabrałem się do naprawiania dziurawej opony w rowerze. Załatałem dziurę i napompowałem koło.

Już chciałem schować pompkę do torby, gdy ujrzałem, jak zza mojego namiotu czmycha bure kocisko. Zaraz potem wzrok mój padł na patelnię, na której jeszcze przed chwilą czekał na mnie omlet. Już go tam nie było. Miejscowy kocur skorzystał z okazji i kiedy zajęty byłem naprawą roweru, zakradł się do obozu i spałaszował moją kolację!

– Ty złodziejaszku! – krzyknąłem i pogroziłem kotu pompką do roweru, która już drugi raz tego dnia okazała się dobrym straszakiem na takich gagatków.

Kot stanął i odwrócił się, przez chwilę przyglądał mi się z bezpiecznej odległości i oblizywał bezczelnie, po czym machnął ogonem i uciekł na dobre. Niestety, znikł także mój omlet. Musiałem zadowolić się gotowanym mlekiem i owocami.

Siadłem przed namiotem, posiliłem się i zabrałem do pisania listów do rodziny. Wysoko nad mą głową rozlegało się klekotanie wędrownych ptaków, które tą właśnie trasą wracają wiosną z Afryki do Europy. Zadarłem głowę i ujrzałem lecące do domu bociany, radośnie machające skrzydłami. Pomyślałem wtedy, że przecież wędrowne ptaki szybciej niż moje listy dotrą do Polski.

– Halo, boćki! – zawołałem na całe gardło w kierunku szybującego po wieczornym niebie ptactwa. – Boćki kochane, bardzo proszę, gdy doleciecie do Polski, koniecznie pozdrowcie ode mnie moją żonę Marysię i dzieciaki!

◦ TAJEMNICZE BĘBNY ◦

Posuwając się wzdłuż Nilu, dotarłem do odciętej od reszty świata krainy Szilluków, którzy żyją na wyspach pośród bezkresnych bagien. Zastanawiałem się właśnie, jak znajdę drogę, nie mając żadnej mapy tych okolic, gdy ujrzałem gromadę myśliwych polujących na dzikie ptactwo.

– Czy wskażecie mi drogę do wioski waszego wodza? – spytałem.

– Oczywiście, podróżniku. Możesz zostawić tu rower i udać się z nami. Zaprowadzimy cię bezpiecznie do naszego wodza – odpowiedzieli.

– To wspaniale, chodźmy zatem – ucieszyłem się.

Myśliwi ruszyli gęsiego poprzez bagna. Idąc, uderzali w wodę oszczepami, by odstraszyć wygrzewające się w słońcu krokodyle. Potworne gady uciekały na nasz widok i rzucały się z pluską do mętnej wody. Mokradła stawały się coraz głębsze, zdjąłem więc ubranie, związałem spodnie oraz koszulę w tobołek i



szedłem dalej, trzymając pakunek nad głową, by go nie zamoczyć. Myśliwi nie musieli się o to martwić, poza przepaską na biodrach nie mieli bowiem na sobie żadnego ubrania.

Nastał wieczór. Postanowiliśmy zatrzymać się na noc w jednej z leżących na naszym szlaku wiosek. Siadłem przy ognisku i zawinałem się w koc. Sponad bagien uniosły się chmary komarów i brzęczały nad moją głową tak głośno, że nie sposób było usnąć. Miejskowa staruszka obserwowała, jak oganiam się od natrętów, po chwili podeszła do mnie i podała miseczkę z jakimś smarowidłem.

– Wysmaruj się tym porządnie, chłopcze. Głowę, brzuch i ręce, a wtedy komary dadzą ci spokój – powiedziała.

Powąchałem dziwną miksturę. Cuchnęła okropnie.

Nic dziwnego, że komary uciekają od takiego smrodu – pomyślałem.

– Dziękuję, ale spróbuję odegnać komary dymem z ogniska – odpowiedziałem uprzejmie.

– Jak sobie życzysz, chłopcze. Spokojnej nocy! – powiedziała staruszka i odeszła, podśpiewując sobie pod nosem wesoło.

Wkrótce komary pochowały się przed chłodem nocy, a ja ułożyłem się wygodnie przy ognisku i spoglądałem na rozgwieżdzone niebo nad głową. Mieszkańcy wioski grali na wielkich bębnach, których dudnienie niosło się po wodach otaczających wioskę. Bum-bum, bum-bum-bum... Byłem zmęczony, oczy same mi się zamykały. Przez sen słyszałem jeszcze, jakby gdzieś daleko odezwało się echo: bum-bubum... bubum-bubum...

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę. Podobnie jak poprzedniego dnia przepławialiśmy się przez mokradła i płoszyliśmy wylegające się w słońcu krokodyle. Wreszcie dotarliśmy do wioski wodza Szilluków. Już z daleka usłyszałem serdeczne powitanie:

– Witaj, Kazik, samotny podróżniku z Polski! Czekałem na ciebie od rana! – wołał na mój widok wódz.

– Witam, wodzu! Skąd wiedziałeś, że cię odwiedzę i że przybywam z Polski? – zdziwiłem się, bo nie miałem pojęcia, jak dotarła do niego wieść o mojej wizycie.

Wódz uściskał mnie tak mocno, że aż mi dech na chwilę zaparło.

– Wiem wszystko, drogi przyjacielu! Dzięki tam-tamom...

Wódz wskazał wielkie bębny stojące na placu pośrodku wioski.

– To tam-tamy – wyjaśnił. – W Afryce używamy ich, by przekazywać nowiny z wioski do wioski. Ich odgłos słyhać daleko. Ludzie, u których nocowałeś, uderzając w bębny, przekazali mi radosną wiadomość o twoich odwiedzinach.

– Bębnieniem można przekazać wiadomość? – spytałem z niedowierzaniem.

– Oczywiście – odparł wódz. – Wiem nawet o tym, że wczoraj bardzo dokuczały ci komary...

– To prawda, pogryzły mnie paskudnie – przyznałem, pokazując ślady ukąszeń na policzku, i obaj roześmialiśmy się głośno.

Przez kilka dni wypoczywałem w wiosce wodza po trudach podróży. Obserwowałem, jak Szillukowie polują, łowią ryby

i wypasają krowy na położonych pośród bagien wyspach. Na pożegnanie wódz podarował mi dwie włócznie, których jego plemię używa do polowań.

– Oby ochroniły cię przed dzikim zwierzem, który może czaić się na szlaku – powiedział.

– Dziękuję – odrzekłem. – Zabiorę je w dalszą podróż, choć mam nadzieję, że nie będę zmuszony ich użyć.

– Ja również mam taką nadzieję. Szczęśliwej drogi, Kazik! Wieczorem uderzymy w nasze bębny i przekazemy tam-tamami prośbę, by wszystkie wioski, do których zawitasz, udzieliły ci gościny – powiedział wódz i uściskał mnie na pożegnanie tak mocno, że znów dech mi na chwilę zaparło.



◦ KRÓL ZWIERZĄT ◦

Pprzedzierałem się przez gęsty tropikalny las i nie zauważyłem nawet, kiedy przyszedł wieczór. W dżungli łatwo przeoczyć zachód słońca, gdyż szerokie liście drzew zatrzymują promienie słoneczne i nawet w środku dnia panuje tu półmrok.

W gęstwinie nie sposób było znaleźć miejsce na ustawienie namiotu, wszędzie dżungla, dżungla i splątane zarośla, mimo więc późnej pory, choć wokół zapadły ciemności, szedłem dalej. Jedynie księżyc oświetlał wąską ścieżkę leśną, którą brnąłem przed siebie, płosząc co chwila śpiące zwierzęta. A to dzikie kury podrywały się z wrzaskiem do lotu, a to antylopa zrywała się do ucieczki tuż spod moich nóg. Najstraszniejsza jednak przygoda dopiero na mnie czekała!

Ustyszałem szelest. Zatrzymałem się i zagroziłem rowerem ścieżkę. Dostrzegłem w ciemnościach tajemniczy kształt, który zbliżał się do mnie. Przypomniałem sobie wtedy o podarowanych przez wodza Szilluków włóczniach, które miały pomóc mi



w razie niebezpieczeństwa. Oparłem jedną z włóczni o rower, drugą zaś ścisnąłem w dłoniach i skierowałem w stronę czającej się w mroku sylwetki. Wtem kilka kroków przede mną olbrzymie kły zabłyśły w świetle księżyca, rozległ się potężny ryk i wiedziałem już, że spotkałem najgroźniejsze zwierzę Afryki, króla zwierząt, lwa we własnej osobie.

Wtedy lew skoczył. Poczuliem uderzenie i upadłem na ziemię. Przez chwilę leżałem bez ruchu, nie wiedząc, co się stało.

To koniec! Pożarł mnie lew! – pomyślałem.

Ale, ale... chwileczkę! Widziałem księżyc i gwiazdy w górze, a to znaczyło, że nie wylądowałem w brzuchu drapieżcy. Sprawdziłem, czy nie brakuje mi którejś ręki albo nogi, ale wszystko miałem na swoim miejscu. Rozejrzałem się. Włócznie leżały na ziemi połamane.

Lew skoczył, natrafił na ich ostrza, przestraszył się i uciekł – wnioskowałem. A jeśli nie uciekł, tylko przyczaił gdzieś w gęstwinie? – zrodził się zaraz w moim sercu niepokój.

Pozbierałem się śpiesznie i bez zwłoki ruszyłem w dalszą drogę. Wtedy przypomniałem sobie, że gdy żegnałem się z rodziną na dworcu kolejowym, synek poprosił mnie, bym przywiózł mu z Afryki zdjęcie lwa, a tu, proszę, gdy spotkałem króla zwierząt, byłem tak przerażony, że martwiłem się tylko o uratowanie życia i nawet nie wyciągnąłem z torby aparatu fotograficznego. Cóż, choć bez zdjęcia, choć zmęczony, obdarty i brudny, nie martwiłem się wcale, bo przecież wyjść z takiej przygody w jednym kawałku to naprawdę wielkie szczęście!

◦ ZŁOTODAJNA RZEKA ◦

Wędrując przez dżunglę, niełatwo jest odnaleźć właściwą ścieżkę, dlatego zazdrośczone czasem słoniom i małpom, którym ścieżki nie są do niczego potrzebne. Słonie są wystarczająco silne, by przebić się przez gąszcz splątanych roślin. Gdy chcą na przykład napić się wody, wydeptują drogę w kierunku rzeki. Przodem maszeruje potężny samiec i łamie drzewa, torując przejście. Za nim podąża reszta stada, zaś dopiero ich śladem śpieszą do wodopoju mniejsze zwierzęta: lamparty, żyrafy, zebry i antylopy. Małpy również nie potrzebują ścieżek, skaczą z drzewa na drzewo, a gdy pragną się napić, zwieszają się z gałęzi, pijąc wodę prosto z rzeki. Muszą jedynie uważać, by z wody nie wyrżał krokodyl i nie pochwycił ich swymi strasznymi zębami.

Wydeptanym przez słonie traktem dotarłem do rzeki, nad której brzegiem ujrzałem obozowisko ludzi. Panował tam straszny hałas, maszyny klekotały głośno, a ludzie łopatami wrzucali piasek z rzeki na stojące na szynach wózki.

- Dzień dobry, panowie – odezwałem się do nieznajomych.
- Co robicie?

Robotnicy byli tak zajęci pracą, że nie zauważyli mego przybycia.

- Dzień dobry! – krzyknąłem głośniejsze i zacząłem machać rękoma, by mnie zobaczyli.

Wtedy przerwali na chwilę załadunek i odpowiedzieli:

- Szukamy złota, które skrywa piasek na dnie tej rzeki.

- To złotodajna rzeka – dodał jeden z poszukiwaczy.

Zabrali się znów do pracy, pchali pękate wózki po szynach, wysypywali z nich muł i polewali wodą tak długo, aż wyflukali cały piasek, a na sitach zostawały kawałki złota. Potężny Murzyn rozbijał kamienie, uderzając w nie z całej siły młotem, i sprawdzał, czy wewnątrz nie kryje się złoto.

- Dzień dobry. – Podeszedł do mnie człowiek w okularach.
- Jestem inżynierem, zarządzam tą kopalnią złota.

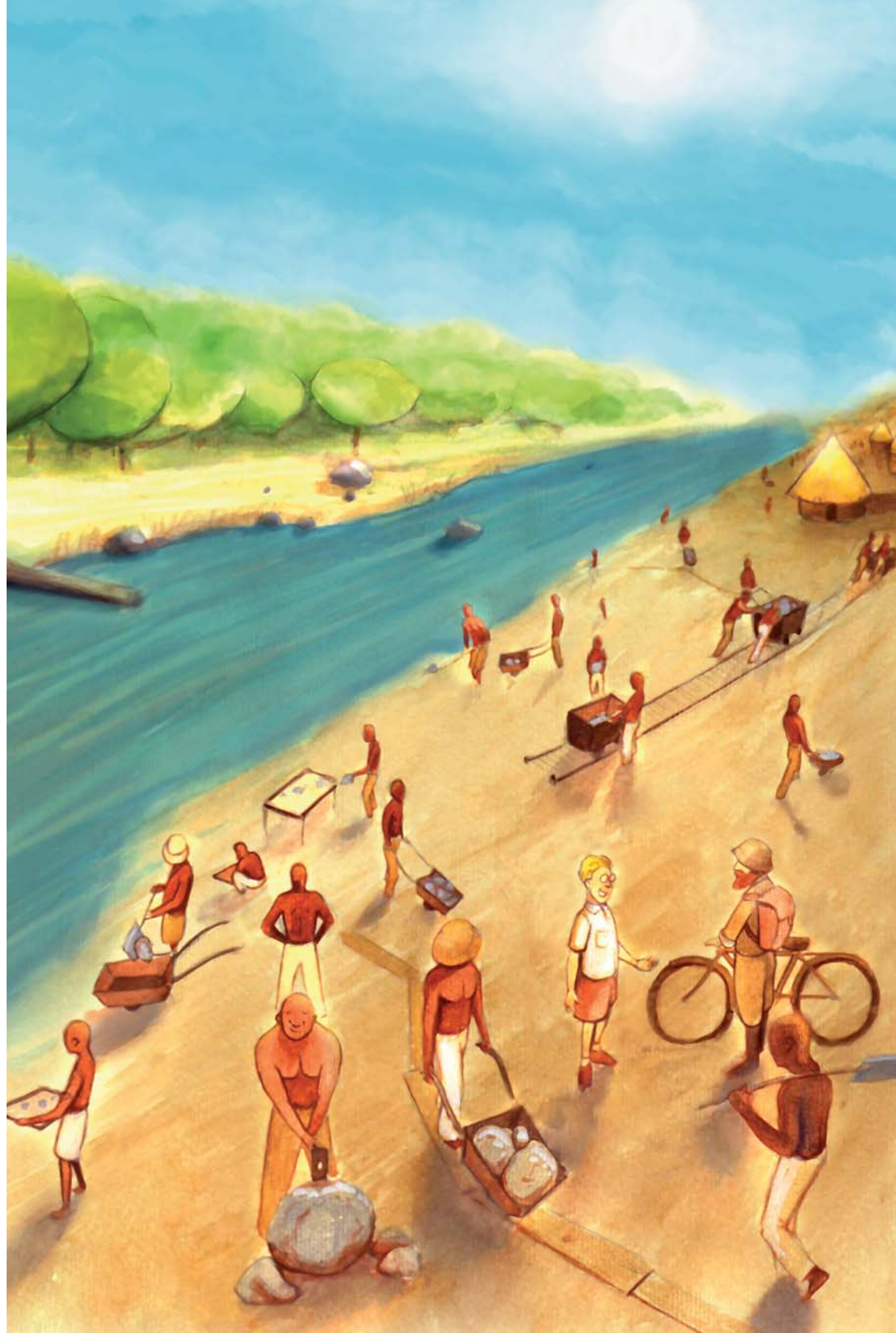
– Dzień dobry. Mam na imię Kazik. Wędruję przez Afrykę, robię zdjęcia, piszę listy i posyłam do gazet w Polsce, by ludzie dowiedzieli się więcej o tej pięknej krainie.

Inżynier podsunął mi pod nos trzymane na otwartej dłoni grudki złota.

- Może pan o tym napisze? Proszę zobaczyć, jakie bogactwa można tu znaleźć – powiedział z nieskrywaną dumą.

Przyjrzałem się połyskującym w słońcu bryłkom.

- Bardzo ładne – oceniłem. – Ale złoto nie jest dla mnie wiele warte. Udaję się w dalszą podróż przez dżungle i pustynie. Jeśli



zachoruję, złoto mnie nie wyleczy, gdy będę głodny, nie zjem go. Dla mnie lekarstwa i jedzenie mają w tych stronach większą wartość niż ten żółty piasek.

Podziękowałem inżynierowi za to, że mogłem obejrzeć kopalnię, i powędrowałem dalej. Może to dziwne, ale choć w dżungli roi się od niebezpiecznych zwierząt, lepiej się czuję wśród dzikiej przyrody niż w obozach ludzi, gdzie panują hałas i zamieszanie.



◦ ZUPA ◦

często na swym szlaku napotykam wioski, których mieszkańcy pozdrawiają mnie już z daleka, gdy zaś idę dalej, machają do mnie na pożegnanie tak długo, aż zniknę za kolejnym zakrętem.

W jednej z wiosek spotkała mnie niezwykła przygoda. Zbliżał się wieczór i właśnie usłyszałem burczenie w brzuchu, które mówiło mi, że czas na postój i kolację. Wtedy przeogromna chmura przysłoniła słońce, a burczenie stawało się coraz głośniejsze i głośniejsze. Zrozumiałem, że to nie mój brzuch był źródłem tego dźwięku, ale nadlatywało stado szarańczy. Po chwili furkotanie skrzydełek stało się tak głośne, jakby rozszalała się burza. Szarańcza to wielki szkodnik. Gdy taka chmara ląduje, by się pożywić, pożera liście wszystkich roślin w okolicy.

Nagle z chat wybiegli ludzie: kobiety, mężczyźni i dzieci, trzymali kosze lub garnki, biegali i chwyтали szarańczę, a gdy już napełnili owadami naczynia, ustawili nad ogniem gliniane

gary, wiali do nich wodę i zaczęli gotować zupę. Nie wierzyłem własnym oczom, gdy ujrzałem, że do zupy wsy-pali całą złapaną szarańczę, a nawet inne żyjątka: gąsienice, mrówki, myszy i ślimaki!

Gruba kobieta mieszała w garnku drewnianą łyżką i dmuchała na ogień, by zupa jak najszybciej się gotowała. Po chwili spróbowała potrawę i krzyknęła tak głośno, że jej głos poniósł się po całej okolicy:

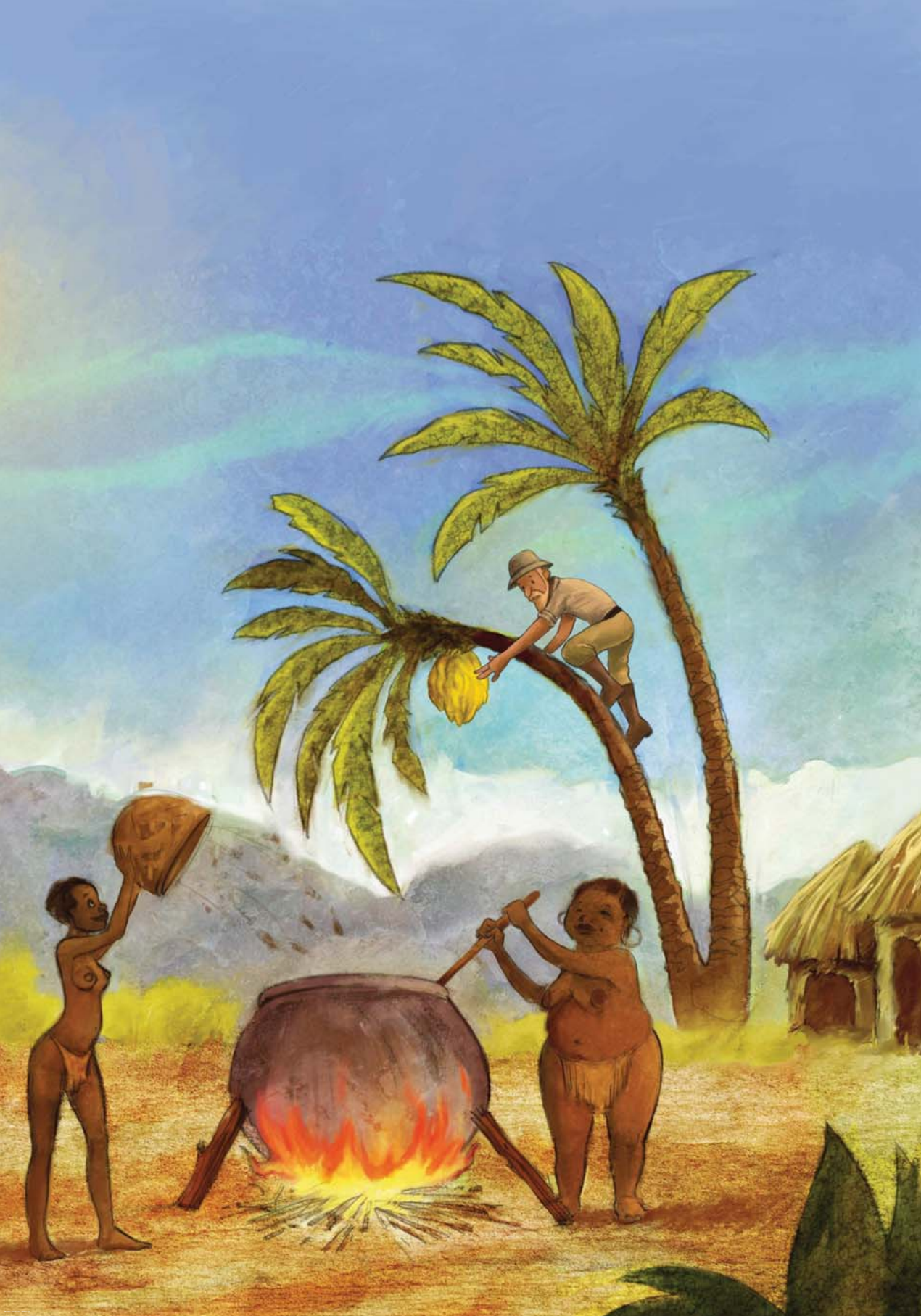
– Baba, luda! Misa-misa! Misa, baba... luda...!

Wtedy mieszkańcy wioski ustawili się w kolejce, a gruba pani kucharka częstowała ich zupą. Ludzie zaczęli zajadać ze smakiem, a gdy już wszystko zjedli, rozsiedli się zadowoleni, oblizywali i klepali po pełnych brzuchach.

– Misa-misa, luda? – spytała mnie kucharka, słysząc zapewne, że zaburczało mi w brzuchu.

– Nie, dziękuję bardzo. Szarańczy i mrówek nie jem – odrzekłem i po-





kręciłem przecząco głową.

Różne rzeczy jadałem w życiu, ale na taką zupę nie miałem apetytu.

– Czy macie może jajka? – spytałem.

– Jaja-jaja, luda misa! – zawołała kobieta i już po chwili jakiś chłopiec podał mi kilka jajek. Wspiąłem się na drzewo pobliskiego bananowca i zerwałem kiść bananów, nazbierałem chrustu, po czym rozpałem ogień i ugotowałem zupę z jajek i bananów. Była smaczna i bardzo pożywna, po posiłku także oblizałem się i poklepałem po pełnym brzuchu.

A gdy mnie ktoś spyta, czy wiem, jak smakuje zupa z szarańczy z dodatkiem myszy i ślimaków, odpowiem, że wprawdzie sam nie próbowałem, ale widziałem na własne oczy, że dla mieszkańców Afryki to prawdziwy przysmak.



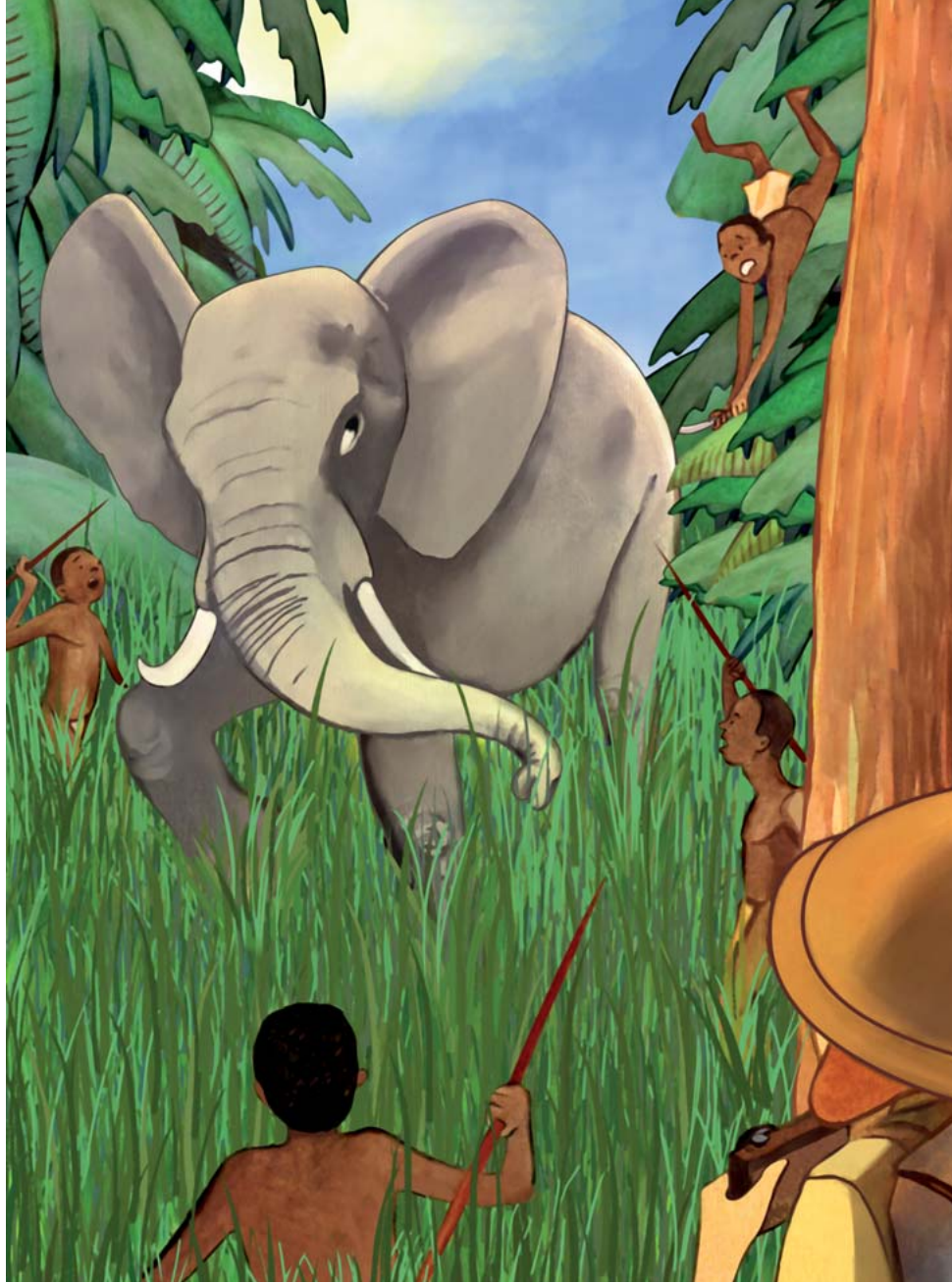
◦ POLOWANIE NA SŁONIA ◦

Wędrowka przez dżunglę stanowi nie lada wyzwanie dla podróżnika z rowerem. A to drogę zagradzały mi potężne zwalone pnie drzew, to znów zapadałem się po kolana w puszystym mchu. Przedzierałem się przez gęszcz leśny, gdy nagle poczułem zapach ogniska. Pośród sięgających nieba drzew dojrzałem pobudowane z gałęzi chatki. Gdy zbliżyłem się, wybiegła z nich gromada dzieci i otoczyła mnie, paplając wesoło.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Czy w waszej wiosce mieszkają jacyś dorośli?

– Ależ my nie jesteśmy dziećmi! Jesteśmy dorośli! – odpowiedzieli mieszkańcy chatek.

Wtedy zrozumiałem, że to nie dzieci wybiegły mi na spotkanie, ale że trafiłem do wioski Pigmejów, małych ludzi o czarnej skórze, którzy żyją w dżungli, noszą ubrania z liści i polują na leśne zwierzęta. Pigmeje byli bardzo gościnni, zaprowadzili mnie do jednej z chatek, w której mogłem schronić się na noc. Domek



był tak mały, że ledwie się w nim zmieściłem, ale spało się bardzo wygodnie na pośłaniu z liści i mchu.

Było jeszcze ciemno, gdy obudziły mnie jakieś krzyki. Wyrząłem ze swej chatki. Pigmeje biegali po wiosce i pokrzykiwali dziarsko do siebie. Pośrodku wioski gromada myśliwych szuko-

wała się do polowania. Mężczyźni byli niewysocy, ale wyglądali groźnie, każdy z nich dzierżył włócznię i ostry nóż. Przyłączyłem się do grupy i powędrowaliśmy razem leśną ścieżką. Wężę uciekały nam spod nóg, a ponad głowami małpy skakały wśród gałęzi. Słońce weszło nad dżunglą, gdy dotarliśmy do polany. Myśliwy prowadzący grupę przyłożył palec do ust i powiedział:

– Ciiiiii... W pobliżu są słonie.

W krzakach przed nami słychać było pochrząkiwania i trzask łamanych gałęzi. Myśliwi rozbiegli się i znikli pośród wysokich roślin; widać było tylko wystające z trawy czubki włóczni. Skryłem się za drzewem i czekałem na to, co się wydarzy. Nagle usłyszałem donośne trąbienie i okrzyk:

– Mambutil!

To był bojowy okrzyk Pigmejów. Chwilę potem z zarośli wybiegł wielki słoń, machając trąbą na lewo i prawo, a odważny Pigmej wisiał z tyłu, trzymając się za ogon olbrzyma. Dookoła biegali pozostali wojownicy, bacząc, by zwierzę nie uderzyło ich trąbą ani nie zdeptało.

Byłem pełen podziwu, obserwując, z jaką odwagą ci mali mieszkańcy afrykańskiej dżungli polują, by zdobyć jedzenie.



Polowanie na słonia powiodło się, mieszkańcy wioski będą mieli co jeść przez wiele tygodni. Dźwigając wielkie kawały mięsa, powędrowaliśmy z powrotem do wioski. Kobiety pigmej-skie naznosiły z dżungli grzybów, które choć kolorowe wcale

nie były trujące i którymi zagryzaliśmy pieczone nad ogniskiem słońcове mięso. To była najdziwniejsza kolacja, jaką w życiu jadłem, i to jedzona rękoma, bowiem w tych stronach nie używa się ani widelca, ani noża! Najdziwniejsze jednak było to, że Pigmeje poprosili mnie o sól na deser. Dzieci w Polsce uwielbiają cukier i słodycze, a Pigmejom najbardziej smakuje sól!

– Kazik, masz jeszcze trochę soli? – pytali, szarpiąc mnie za rękaw.

Całe szczęście, że zabrałem w podróż worek soli i mogłem odwdziżyć się sympatycznym Pigmejom za gościnę, częstując moimi zapasami.



• NA TARGOWISKU •

Był dzień targowy, gdy dotarłem do Usumbury, stolicy kraju o nazwie Rwanda. Na wielkim placu pośrodku miasta gwarno było i wesoło, grajkowie uderzali w bębny, tancerze skakali wysoko w górę, dzieci piszczały z radości, a widzowie klaskali głośno i wrzucali muzykantom ziemniaki do wielkiego wora jako zapłatę za ich popis.

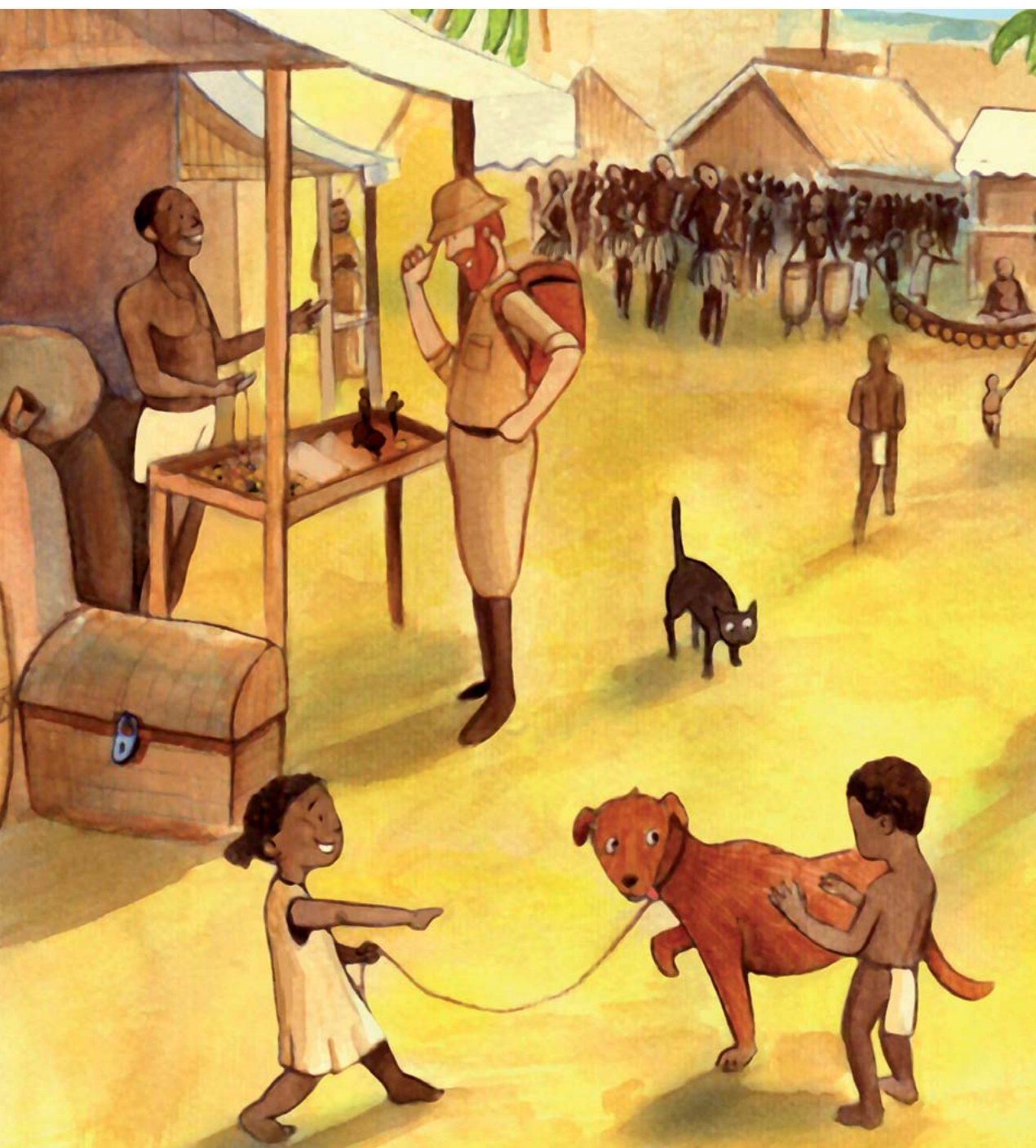
– Może kupi pan piękne korale? – zawołał kupiec, prezentując ozdoby z kości zwierząt, muszli i suszonych owoców.

– To byłby doskonały prezent dla mojej żony. Ile kosztują?
– spytałem.

– Wystarczy, jeśli da mi pan coś w zamian, na przykład pański kapelusz. – Kupiec wskazał palcem na moje nakrycie głowy.

– Dziękuję, ale wolałbym nie pozbywać się kapelusza. Jest mi potrzebny, chroni moją łysą głowę przed słońcem – odrzekłem.

Kupiec wyglądał na zmartwionego, że nie ubije ze mną interesu.





– Może mógłbym zapłacić za naszyjnik pieniędzmi – zaproponowałem.

– Tutaj nie używamy pieniędzy – odparł.

– Jak zatem kupujecie rzeczy? – spytałem zdziwiony.

– Jeśli potrzebuję jajka na kolację, idę na targ i proponuję wymianę innemu kupcowi. Mówię dla przykładu: „Dam ci igłę i nici, a ty dasz mi trzy jajka”, lub gdy chcę kupić krowę, proponuję: „Jeśli dasz mi jedną krowę, dostaniesz ode mnie dwie kozy i kurę”. W ten sposób wymieniamy się rzeczami i radzimy sobie doskonale bez pieniędzy.

– To nieco skomplikowane – odrzekłem. – Dlaczego nie używacie pieniędzy?

Kupiec roześmiał się.

– Pieniądze? A gdzie pan je zazwyczaj chowa? – zapytał.

– W kieszeni! – odrzekłem.

– Ha, no właśnie! – wykrzyknął kupiec.

– A w naszym kraju przez cały rok panują upały i nie używamy ubrań. Proszę się rozejrzeć, ludzie chodzą prawie nago, nie noszą spodni, koszul ani kurtek i nie mają kieszeni, w których mogliby chować pieniądze.

Rozejrzałem się. Ludzie na placu targowym rzeczywiście nie nosili ani koszul, ani spodni. Sięgnąłem do kieszeni; oprócz pieniędzy znalazłem w niej stary zegarek. Pomyślałem, że przecież nie używam go w czasie podróży, skoro nie muszę się donikąd śpieszyć na określoną godzinę, a słońce doskonale wskazuje początek i koniec dnia. Pokazałem zegarek kupcowi.

– Jeśli dam panu ten zegarek, czy dostanę w zamian korale dla mojej żony?

Kupiec spojrział na zegarek z zachwytem.

– Oczywiście, za ten wspaniały zegarek dam panu korale i na dodatek piękną bransoletę, wykonaną z drewna hebanowego.

Podąłem kupcowi zegarek, a on założył go na rękę. Sądząc z szerokiego uśmiechu na jego twarzy, był bardzo zadowolony z wymiany. Ja zresztą także, oto bowiem afrykańskim zwyczajem, bez użycia pieniędzy, nabyłem śliczne prezenty dla mojej żony i córeczki.



◦ U KRÓLA RWANDY ◦

Następnego dnia zawitałem na dwór króla Rwandy. Przez szeroką bramę wstąpiłem na dziedziniec, minąłem stojący przed pałacem piękny luksusowy samochód i przywitałem się ze stojącym przy wejściu strażnikiem. Zaproszono mnie do salonu, którego ściany obwieszane były pasiastymi, pręgowanymi i cętkowanymi skórami afrykańskich zwierząt. Pomyślałem wtedy, jak to dobrze być królem afrykańskiego kraju, posiadać taki piękny pałac i całą resztę.

- Dzień dobry. Król Mutara wita podróżnika z dalekiego kraju.
- Ukłonił się młodzieniec tak wysoki, że musiałem zadrzeć głowę, by się z nim przywitać.
- Dzień dobry – odpowiedziałem. – Nazywam się Kazik. Przyjechałem z Polski, by pozdrowić afrykańskiego władcę.



Król zaprosił mnie na przejażdżkę. Wsiedliśmy do wygodnej limuzyny i pojechaliśmy zielonymi alejami do królewskich ogrodów. Król objaśniał mi wszystko po drodze, ale wydawał się smutny.

– Dlaczego jesteś smutny? – spytałem. – Myślałem, że król jest zawsze szczęśliwy.

– W Afryce trudno być królem – odrzekł władca.

– Dlaczego? Masz pałac, służbę, samochód i piękne ogrody – dziwiłem się.

– To prawda, ale mam też wiele zmartwień. Nie potrafię sprawić, by ludzie w moim kraju byli szczęśliwi. Kłócą się wciąż między sobą, a ja nie potrafię ich pogodzić – opowiadał król.

– Każdy z nas ma zmartwienia – pragnąłem go pocieszyć.

– To prawda – odpowiedział. – Co ty robisz, Kazik, gdy się czymś martwisz?

– Ruszam w drogę, zostawiam kłopoty za sobą i szybko o nich zapominam.

– Widzisz, ja także chętnie wybrałbym się w podróż, by zobaczyć, jak wygląda świat, i zapomnieć o zmartwieniach, ale nie mogę zostawić mego królestwa bez opieki.

Musiałem przyznać królowi rację. Zrozumiałem, że jest mądrym człowiekiem.

Na pożegnanie poprosiłem o wpis w moim pamiętniku. Król wyciągnął z kieszeni złote pióro i wpisał się pismem zdobnym w piękne zawijasy.



*Dla Kazika,
podróżnika z Polski,
z życzeniami szczęśliwego
powrotu do domu.*

*Mutara,
król Rwandy*



Pomyślałem wtedy, jak to dobrze, że mogę ruszyć w dalszą podróż przez Afrykę. Jak to dobrze być podróżnikiem.

ŚNIEG W AFRYCE

Beni to najpiękniej położona wioska, jaką odwiedziłem podczas mej afrykańskiej wyprawy. Postanowiłem zatrzymać się w niej na kilka dni i odpocząć po trudach podróży. W gorące duszne wieczory siadałem przed chatą, której użyczyli mi sympatyczni mieszkańcy Beni, popijałem sok z bananów, pykałem fajeczkę i spoglądałem na widniejącą na horyzoncie wysoką górę z białym wierzchołkiem.

Pewnego dnia podczas pogawędki z mieszkańcami wioski zagadnąłem ich o tajemniczą białą górę.

– To Ruwenzori, najwyższy szczyt Gór Księżycowych – odpowiedział jeden z mężczyzn.

– Trzeba wspinać się trzy dni, by dojść na sam szczyt – dodał drugi.

– A czy była już na tej górze ekspedycja z Polski? – spytałem. Mój rozmówca podrapał się po głowie i odrzekł:

– Wspinająca się na nią ekspedycja włoska i belgijska, ale polska... nie, jeszcze nigdy.

– Zatem najwyższy czas, by i Polak wszedł na tę piękną górę. Jutro wyruszę ku szczytom Gór Księżycowych! – zakrzyknąłem, wskazując palcem biały szczyt w oddali. – Czy pomożecie mi w tej wyprawie?

Mężczyźni zgodzili się towarzyszyć mi we wspinaczce i pomóc nieść jedzenie, wodę oraz drewno na opał.

Ruszyliśmy następnego dnia o poranku. Cały dzień wspinaliśmy się, by wieczorem rozbić obóz na stoku góry. W dole widniało morze kłębiastych chmur, zaś ponad nami w lśniącym wierzchołku odbijało się światło księżyca. To od tych odblasków wzięły nazwę Góry Księżycowe.

Drugiego dnia wspinaczki dotarliśmy do miejsca, w którym ziemię pokrywał śnieg. Oczarowany widokiem białego puchu, czekałem, aż nadejdą tragarze, którzy zostali nieco w tyle. Gdy dotarli wreszcie i ujrzeni leżący na ziemi śnieg, zwrócili się do mnie:

– Nie mamy butów. Odmrozimy sobie stopy, jeśli pójdziemy boso po śniegu. Nie uda nam się wejść na szczyt, Kazik.

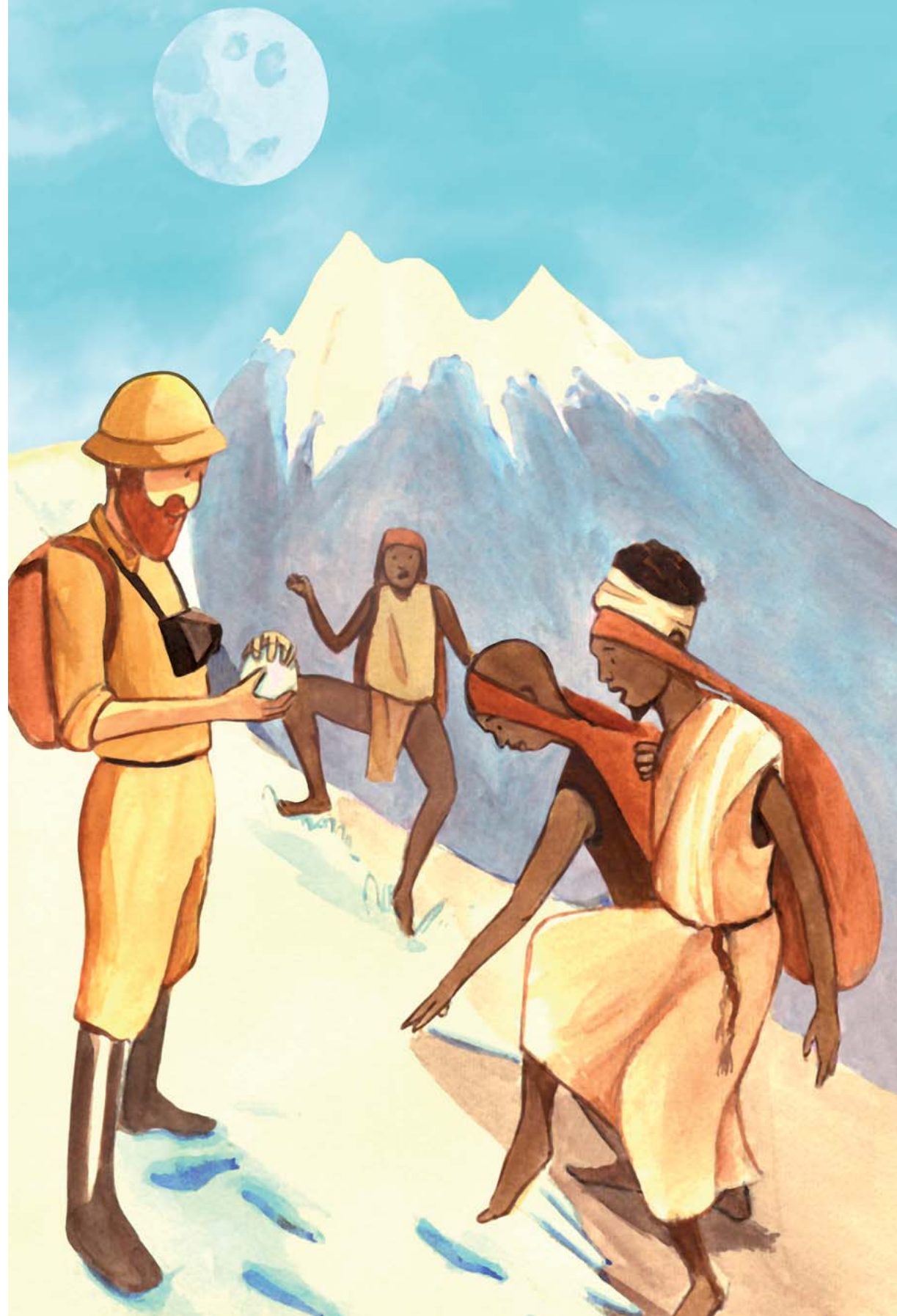
– Nie szkodzi – odpowiedziałem.

Wziąłem do ręki garść śniegu i ulepiłem z niego kulę.

– Wracajmy – dodałem. – I tak zaszliśmy wysoko.

Mężczyźni wydawali się zaskoczeni tym, że tak łatwo zgodziłem się wracać do wioski.

– Nie będzie ci przykro, że musieliśmy zrezygnować z wejścia na szczyt? – spytali.



– Przyznam się wam, że nie wejście na sam szczyt było moim marzeniem. Oglądając z daleka górę, domyśliłem się, że jej wierzchołek jest biały, gdyż pokrywa go śnieżny puch. Wtedy zapragnąłem zobaczyć z bliska śnieg, który kojarzy mi się z moim krajem, a za którym w trakcie podróży przez Afrykę wielokrotnie tęskniłem. Udało się. Widzę śnieg z bliska, a nawet trzymam go w ręce, a więc możemy wracać do wioski.

Tragarze roześmiali się i pomaszrowali ścieżką z powrotem do wioski. Słyszałem, jak rozmawiają między sobą i śmieją się z dziwnego białego człowieka, który wspinał się dwa dni na górę po to jedynie, by dotknąć mroźnego śniegu.

Wieczorem wypoczywałem na leżaku przed swą chatą, pykałem fajeczkę i spoglądałem na ośnieżony szczyt Ruwenzori. Wyciągnąłem z manierki przyniesioną z góry kulkę śniegu i wrzuciłem do stojącego na stoliku kubka z sokiem bananowym. Wiercie mi, nie ma nic przyjemniejszego, jak popijać w gorący afrykański wieczór mrożony sok bananowy.



REMO i JEGO PRZYJACIELE

Dla obrony przed dzikim zwierzem zakupiłem u miejscowego kupca strzelbę. Zawsze to raźniej człowiekowi wędrować przez afrykańską puszcze ze strzelbą na ramieniu. Następnego dnia o poranku udałem się na polowanie, by wypróbować mój nowy nabytek. Pragnąłem przy okazji zdobyć coś do zjedzenia dla sympatycznych mieszkańców wioski Beni i odwdzińczyć się w ten sposób za ich gościnę. Wędrowałem długo przez sawannę, ale nie udało mi się wytropić żadnej zwierzyny. Nagle usłyszałem wołanie:

– Ratunku, wąż! Ratunku!

Udałem się w kierunku, z którego dochodził głos, i ujrzałem chłopca, który biegł przez las, krzycząc:

– Ratunku, wąż... ratunku, piesek... na pomoc!

Murzynek wpadł na mnie i zatrzymał się, ciężko dysząc.

– Co się stało, mały przyjacielu? – spytałem.

– Wąż... piesek... – krzyczał zdenerwowany malec, nie mogąc złapać tchu.

– Wąż czy piesek? – spytałem, niczego nie rozumiejąc.

– Wielki wąż porwał mojego pieska!

Chłopiec chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć przez krzaki tak śpiesznie, że ledwie za nim nadążałem. Dotarliśmy do polany, pośrodku której siedział przestraszony psiak, a wokół niego wił się wielki pyton-dusiciel. Wycelowałem i wypaliłem z mej strzelby. W ten sposób wyratowałem pieska z opresji i przy okazji upolowałem wielkiego pytona! Murzynek podbiegł do swego czworonożnego przyjaciela i uściskał go mocno.

– Dziękuję za pomoc! – zawołał.

– Jestem Kazik, przyjechałem z Polski – przedstawiłem się.

– Ja mam na imię Remo i mieszkam w chatce z gałęzi niedaleko stąd – odpowiedział Murzynek.

– Mieszkasz sam? – zdziwiłem się. – Przecież to bardzo niebezpieczna okolica!

– Wcale nie sam – zaprotestował Remo. – Mieszkam razem z moim pieskiem – dodał, a łaciaty kundelek zamerdał ogonem i stanął na dwóch łapkach dumny z tego, że o nim mowa.

– A co jesz, gdy jesteś głodny?

– Mieszka z nami koza. Pijemy jej mleko, gdy jesteśmy głodni – odpowiedział Remo. – Meee – zameczał niczym koziołek, a chwilę potem z krzaków wyskoczyła koza i powitała nas, odpowiadając radosnym meceniem na wołanie chłopca.

– Meee, meee...



– Nie możecie zostać w tej okolicy. Zbyt często pojawiają się tu drapieżne zwierzęta, lwy, hieny i węże-dusiciela, jak ten oto potwór. – Wskazałem leżącego na ziemi ubitego pytona. – Zabiorę was do wioski, w której znajdzie się dla was miejsce, i będziecie bezpieczni. A pytona, którego zastrzeliłem, weźmiemy i upieczemy na kolację!

Chwyliłem Remo za rękę i poprowadziłem przez las w stronę wioski, w ślad za nami biegł piesek, za nim zaś, przeskakując przez rozrzucone na ziemi gałęzie, podążała koza.

Chłopiec oraz jego przyjaciele, piesek i koza, zamieszkali razem z miłymi mieszkańcami wioski Beni. Gdy ruszałem w dalszą drogę, Remo machał ręką na pożegnanie i wołał:

– Do zobaczenia, Kazik! Dziękuję za uratowanie mojego pieska przed wężem!

– Do zobaczenia, uważaj na siebie, mały Remo!

Polubiłem tego malca i cieszyłem się, że nie będzie już mieszkał w buszu, gdzie czyhało na niego mnóstwo niebezpieczeństw. W wiosce wśród ludzi będzie mu dobrze i będzie bezpieczny. I jego piesek oczywiście też. No i koza.



BOŻE NARODZENIE NA PUSTYNI

Nastał grudzień. W Polsce o tej porze roku prószy śnieg, mróz skruwa lodem jeziora, dzieci bawią się, lepiąc bałwana i rzucając śnieżkami, a gdy zbliżają się święta Bożego Narodzenia, ludzie wieszają ozdoby na choinkach, śpiewają kolędy, składają sobie życzenia i obdarowują bliskich upominkami. Tymczasem ja, wyobraźcie sobie, obozuję samotnie pośród bezludnej pustyni Kalahari i tylko gorący wiatr wyje pośród krzewów, szarpie płótnem namiotu i sypie piaskiem. W Afryce nawet zimą jest gorąco i praży słońce.

Tak nie może być! Wprawdzie jestem daleko od domu, na pustyni i zupełnie sam, ale święta nie mogą mnie przecież w tym roku ominąć – postanowiłem.

Zabrałem się do pracy. Ze sznurka i zdjęć, które wiozłem ze sobą, oraz pamiątek, które dostałem od napotkanych po drodze lu-



dzi, przygotowałem ozdoby i rozwiesiłem je na rosnącym obok namiotu afrykańskim drzewku. Z kawałka drewna wystrugałem scyzorykiem aniołka i zawiesiłem go na najwyższej gałęzi.

– Spójrz, staruszk, czyż nie piękne mamy drzewko świąteczne?! – powiedziałem z dumą w kierunku leżącego opodal roweru, po czym roznieciłem ognisko i zagotowałem w czajniczku wodę na herbatę. Dodałem do niej zerwane z pustynnego krzewu aromatyczne owoce. Następnie z mąki, rodzynek i orzechów upiekłem na ogniu placek. Skromny posiłek, ale jednak świąteczny. Ze swych nerek wyrzały ciekawskie surykatki, zwabione zapachem mych wypieków. Gdy na niebie rozbłysła pierwsza gwiazdka, zjadłem uroczystą kolację, po czym zacząłem śpiewać na głos kolędę.

„Wśród nocnej ciszy... głos się rozchodzi...” – poniosł się śpiew przez afrykańskie pustkowia.

Zaciekawiona śpiewem przybiegła rodzina pawianów, przysiadła opodal ogniska i wpatrywała się niczym zaczarowana w obwieszone ozdobami drzewko – czegoś takiego jeszcze na pustyni nie widziano.

Siedziałem w tym niezwykłym towarzystwie do późnej nocy i pisałem listy, spisując świąteczne życzenia dla bliskich w Polsce. Tęskno mi było do żony i dzieciaków, choć przecież na brak towarzystwa narzekać nie mogłem – wokół okruszków placka krzątała się wesoła gromadka surykatek, zajadając z apetytem moje wypieki. Niech też wiedzą, że jest Boże Narodzenie! „Wesołych Świąt życzy Kazik!”.

URATOWANY PRZEZ ŻYRAFY

Samotne podróżowanie po Afryce ma, niestety, swoje złe strony, a to takie na przykład, że nikt nie zaopiekuje się tobą, gdy zachorujesz. Przekonałem się o tym nad rzeką Krokodylą, gdzie dopadła mnie paskudna choroba, dostałem wysokiej gorączki i przeleżałem cztery dni i cztery noce w namiocie. Dzikie zwierzęta krążyły nocami wokół obozu, wielkie ptaszysko zajrzało nawet do środka namiotu, ale gdy rzuciłem butem w jego stronę, uciekło z wrzaskiem. Na wszelki wypadek przygotowałem drugi but, by przegonić wścibskiego stwora, gdyby postanowił wrócić.

Brakowało mi sił, by zagotować herbatę, piłem więc wodę z rzeki osłodzoną cukrem. Doskwierał mi głód, ale nie miałem nic do jedzenia. Nie wiem, jak skończyłaby się cała ta przygoda, gdyby nie to, że niespodziewanie zjawiła się pomoc; do moje-



go obozu przybyli ludzie. Gdy zobaczyli mnie chorego, rozpalili ognisko, przyrządzili gorącą herbatę i nakarmili chlebem oraz owocami. Od razu poczułem się lepiej.

– Dziękuję wam za pomoc i opiekę – powiedziałem. – W jaki sposób znaleźliście mnie na tym pustkowiu?

– Masz wielkie szczęście! – odpowiedział jeden z ludzi. – To żyrafy cię uratowały!

– Żyrafy? Nie rozumiem! – odrzekłem, a mężczyźni zaczęli się śmiać.

– Widzisz leżące na ziemi druty? – spytali.

Rzeczywiście, na ziemi wokół namiotu leżały fragmenty zerwanego drutu, którego wcześniej nie zauważyłem.

– A czy widzisz żyrafy tam, ponad drzewami?

Spojrzałem we wskazanym kierunku, ponad koronami drzew kołysały się na długich szyjach głowy żyraf, skubiących liście z najwyższych gałęzi.

– Wszystko widzę – odrzekłem. – Ale wciąż nic z tego nie rozumiem.

– Jesteśmy ekipą naprawczą – zaczął tłumaczyć jeden z moich wybawców. – Niedaleko od twojego obozowiska biegnie linia telegraficzna. Wczoraj stado żyraf, uciekając przed polującymi lwami, pojawiło się w tych stronach. Żyrafy swoimi długimi szyjami zaczepiły o druty i zerwały je, a wtedy straciliśmy połączenie telegraficzne. Dziś rano spakowaliśmy narzędzia i ruszyliśmy na poszukiwanie miejsca awarii. W ten sposób dotarliśmy do twojego obozowiska.

– Kochane żyrafy! Jak dobrze, że pojawiły się w okolicy i zerwały druty telegrafu – cieszyłem się.

Drużyna zabrała się do pracy i w parę chwil naprawiła linię telegraficzną, a że nastał wieczór, rozbiła swe namioty obok mojego. Poczułem się dużo lepiej, gorąca herbata i jedzenie wzmocniły mnie, ale przede wszystkim uleczyła mnie obecność ludzi, bo w miłym towarzystwie znacznie łatwiej wyzdrowieć niż w samotności. W obozie było gwarno i wesoło, ludzie siedzieli wokół ogniska i śpiewali piosenki, opowiadali zabawne historie, wybuchali gromkim śmiechem, najgłośniej zaś śmiali się z historii o tym, jak żyrafy uratowały chorego Kazika z Polski.



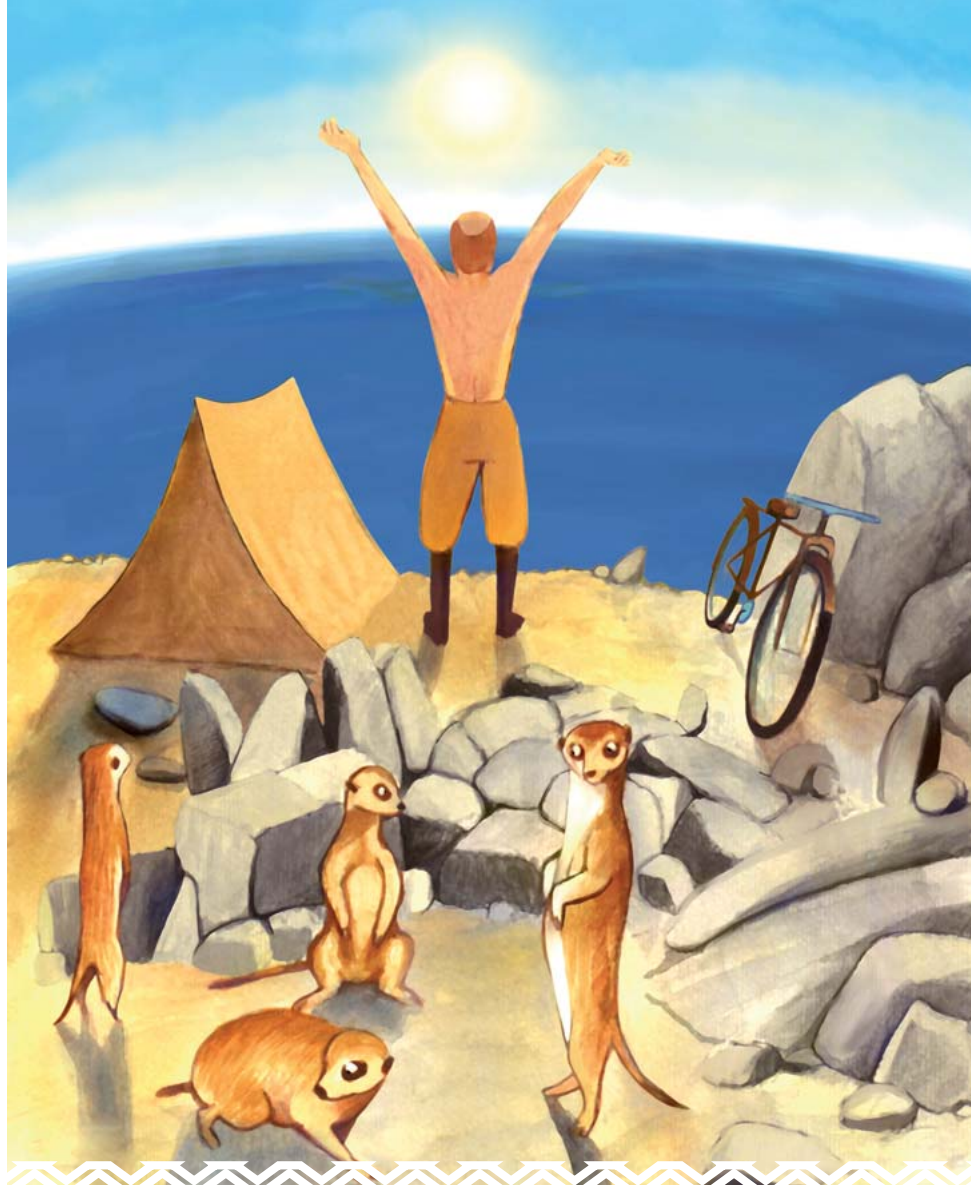
◦ NA KRAŃCU ŚWIATA ◦

Wciskane z całych sił hamulce piszczały przeraźliwie, ale rower-staruszek gnał z góry na złamanie karku, w ogóle na nie nie zważając. Widać spieszno mu było do celu naszej wyprawy – do południowego krańca Afryki.

Wreszcie ukazał się przed nami bezkresny ocean. Oto dotarłem szczęśliwie tak daleko, jak to było możliwe, na kraniec świata, oto pierwszy cyklista z Polski, a być może pierwszy na całym świecie, przejechał rowerem Afrykę z północy na południe, by dotrzeć w to piękne miejsce. Spełniłem swe marzenie. Zwycięstwo!

Tego wieczora rozbiłem namiot na skalistym przylądku, a szum fal rozbijających się o skały ukołysał mnie do snu.

Rankiem obudził mnie krzyk morskich ptaków krążących ponad przylądkiem. Przeciągnąłem się, wyszedłem z namiotu i stanąłem na wysokim brzegu, by nasycić oczy niezwykłym widokiem. Wiatr toczył po oceanie spienione grzywy fal, ponad



którymi szybowwały majestatycznie mewy i albatrosy. Ustawiłem aparat i zrobiłem pamiątkowe zdjęcie.

Nagle usłyszałem za plecami cichy świst, zza skał wychynął łebek surykatki. Zwierzątko spojrzało ciekawie w moją stronę i zagwizdało, by ostrzec inne surykatki, iż na przylądku pojawił się gość, jakiego nigdy wcześniej tu nie oglądano – człowiek z rowerem.

Uśmiechnąłem się, bo zrozumiałem, że jestem tu jedynie gościem i że czas wracać do domu. Skoro dotarłem na koniec świata i nie mogę jechać dalej, pozostaje tylko jeden kierunek, w którym mogę się udać – z powrotem do Polski.

Przedemną nowe przygody i niebezpieczeństwa, daleka droga znów przez całą Afrykę... do Poznania. Opowiadałem wam już o tym, że uwielbiam podróżować, prawda? Uwielbiam, to prawda, ale przyznam się wam także, że to, co w podróżowaniu jest najprzyjemniejsze, to ta część podróży, kiedy wraca się do domu.



◡ MOKRADŁA ◡

Zbliżał się wieczór, a ja błąkałem się pośród bezkresnej sawanny, usiłując odszukać drogę w labiryncie wydeptanych przez ludzi i zwierzęta ścieżek. Wędrowałem poprzez porośniętą wysoką trawą łąkę, gdy nagle poczułem, jakbym nadepnął na coś miękkiego, usłyszałem złowrogie bulgotanie i zacząłem pogrążyć się wraz z rowerem w bagnie. Wystarczyła chwila nieuwagi, trzy nieostrożne kroki, by znaleźć się na zdradliwych mokradłach. Odrzuciłem strzelbę, aparat fotograficzny i zacząłem gramolić się z powrotem w stronę ścieżki, jednak zamiast wydobywać się z bagna, zanurzałem się w nim coraz głębiej.

Nastała noc, taplałem się po pas w gęstej mazi, a nade mną unosiły się chmary komarów. Krótko mówiąc – sytuacja moja przedstawiała się niewesoło. Odnalazłem w kieszeni pudełko zapalek i zapaliłem jedną z nich, by choć na chwilę rozjaśnić ciemności. Przy nikłym świetle ujrzałem kilka suchych traw, które wiatr rzucił na powierzchnię mokradła. Wtedy przyszedł mi do głowy pe-





wien pomysł. Zebrałem suche trawy, zapaliłem je i rzuciłem na sawannę. Ogień gwałtownie ogarnął wysoką trawę. W parę chwil pożar osuszył mokradła na tyle, że kroczek za kroczeniem udało mi się z nich wydostać. Stałem na twardym gruncie i odetchnąłem z ulgą. Byłem wolny, jednak w bagnisku wciąż tkwił mój wierny druh.

– Tyle dni spędziliśmy razem, tysiące kilometrów niosłeś mnie dzielnie na swym siodełku. Nie mogę cię tak zostawić, przyjacielu – powiedziałem z troską.

Wyjąłem pasek ze spodni, zaczepiłem o wystającą z bagna kierownicę i ciągnąc z całych sił, wydobyłem oklejony gęstym błotem rower na powierzchnię.

– Na przyszłość musimy uważać, staruszkule – rzekłem, starannie oczyszczając maszynę z brudu. – Niewiele brakowało, a utonęlibyśmy w tych mokradłach.

Pomyślcie pewnie, że od trudów podróży i afrykańskiego słońca zbikowałem do reszty, skoro rozmawiam ze swoim rowerem. Być może. Ale wierzcie mi, ilekroć spoglądam na mojego dwukołowca, widzę w nim nie zwyczajny pojazd, ale wiernego przyjaciela i bohatera, który przeżył więcej przygód niż jakikolwiek inny rower na świecie.

Wio!

Martwiłem się bardzo, czy mój bohaterski rower wytrzyma wszystkie trudy podróży przez Afrykę. Przemierzył cały kontynent, ale czy zdoła pokonać drogę powrotną? Przejechał szmat świata, pustynie, dżungle i bezdroża, przeżył niezliczone przygody, nic więc dziwnego, że z każdym dniem coraz bardziej skarżył się na swój los. Gdy wspinaliśmy się pod górę, pedały piszczały przeraźliwie, gdy zaś mknęliśmy w dół, kierownica klekotała głośno przy każdym wyboju. Pokrzywione koła nie toczyły się już tak chętnie jak kiedyś, mój kochany staruszek po prostu zaczynał się sypać.

Gdy dotarliśmy do położonego na wzgórzu gospodarstwa, wydawało się, jakby rower mój ostatkiem sił dotoczył się do mety.

– Dzień dobry – powitałem gospodarza, który wyszedł nam na spotkanie. – Jestem Kazik, podróżnik z Polski.

– Wiem, wiem... Czytałem o twej wyprawie w gazetach i wy-
czekiwałem, kiedy zawitasz w moje strony – odrzekł gospodarz.

– Nazywam się Wiśniewski i także przyjechałem do Afryki z Polski. Hoduję owce na okolicznych pastwiskach...

Przerwałem gospodarzowi i rzuciłem mu się na szyję, wzruszony, że spotkałem w dalekiej Afryce rodaka z Polski.

– Nie chciałem cię martwić, Kazik – zwrócił się do mnie pan Wiśniewski, gdy już uwolnił się z mych serdecznych objęć – ale na tej maszynie daleko nie zajedziesz. – Wskazał na mój rower.

– To prawda – przyznałem, drapiąc się po głowie. Chwyliłem za kierownicę roweru i w tym samym momencie odpadło przednie koło. Pan Wiśniewski podszedł i podniósł z ziemi pokrzywione koło.

– Tym kółkiem chętnie pobawią się moje dzieci – stwierdził.

– A dla ciebie, Kazik, mam pewną radę. Nowego roweru w tych stronach nie kupisz, ale pokażę ci coś, co być może cię zainteresuje.

Przeszliśmy przez sad na drugą stronę gospodarstwa, skąd ujrzałem łąkę, na której znajdowała się zagroda z końmi. Podeszliśmy do ogrodzenia; dwa koniki – jeden kary, drugi kasztanowaty – wyszły nam na spotkanie.

– Ihahaha! – zarżał kary wesoło.

– Ihihihih! – zawtórował mu kasztanek.

– Ten kary nazywa się Ryś, a kasztan to Kowboj. Ryś to znakomity wierzchowiec, który powiezie cię, dokąd tylko sobie zamarysz pojechać, Kowboj zaś doskonale nadaje się na konia bagażowego – powiedział pan Wiśniewski, głaszcząc Kowboja po pysku.

– Nigdy w życiu nie siedziałem na koniu – powiedziałem. – Ale to nie znaczy, że nie mogę spróbować! – dodałem szybko.

Zamienić rower na konia? Ha, to by dopiero była przygoda. Pan Wiśniewski pomógł mi dosiąść Rysia. Rozsiadłem się wygodnie w siodle i poklepałem konia po głowie.

– I co teraz? – spytałem.

– Wio! – zawołał pan Wiśniewski.

Ryś podskoczył, a ja wyleciałem wysoko w powietrze i wylądowałem na ziemi.

– Ihahaha! – zarżał Ryś i wyszczerzył zęby.

– Ihihihihii! – zawtórował mu obserwujący bacznie moje wyczyny Kowboj.

Odniosłem wrażenie, że bezczelne konie śmieją się z mojego upadku. Już ja im pokażę!

– Ha, ha, ha, rower nie wyczyniał takich sztuczek, prawda?

– Pan Wiśniewski także się śmiał. Podszedł i pomógł mi wstać.

– Nic ci się nie stało? – spytał.

– W ten sposób prędzej nauczę się latać, niż jeździć konno – odrzekłem, nie zamierzałem się jednak zrażać. – Spróbujmy raz jeszcze! – zakrzyknąłem.

– Trzymaj się mocno, wtedy nie spadniesz – poradził pan Wiśniewski i raz jeszcze pomógł mi dosiąść rumaka.

– Wio! – krzyknąłem.

Ryś zarżał radośnie, po czym ruszył przed siebie galopem, aż się za nami kurzyło. Tym razem mocno się trzymałem. Zatoczyliśmy wielkie koło wokół gospodarstwa i przybiegliśmy



z powrotem do czekających przy zagrodzie pana Wiśniewskiego i Kowboja.

– Ten konik jest szybszy niż mój rower! – wykrzyknąłem.

– Oczywiście, zajdziesz na nim bardzo daleko, choćby na koniec świata – odpowiedział pan Wiśniewski.

– Na koniec świata? – skrzywiłem się. – Właśnie stamtąd jadę. Wolałbym raczej do Poznania.



◦ WODOPÓJ ◦

– Piiić – zdawały się wołać spragnione konie, gdy spoglądały na mnie swymi smutnymi oczyma.

Co jakiś czas unosiły głowy i węszyły, próbując wyczuć, czy gdzieś w pobliżu jest woda.

Oto różnica pomiędzy rowerem i koniem – pomyślałem. Rower nigdy nie czuł pragnienia, wystarczyło mu kilka zaledwie kropelek oliwy i mógł cały dzień jechać, choćby przez pustynię.

Zmęczone koniki człapały noga za nogą, zatrzymywały się co chwila ze zmęczenia. Ledwie udawało mi się nakłonić je, by szły dalej, mowy jednak nie było, by przyspieszyć kroku.

W tym tempie nigdy nie dowleczymy się do wodopoju – myślałem z niepokojem.

Wtem Ryś i Kowboj zatrzymały się, jakby je wmurowało. Za nic w świecie nie chciały ruszyć dalej.

– Ej, co to za kaprysy? – zawołałem i szarpnąłem Rysia za uzdę, on jednak ani drgnął. Spojrzałem na drogę przed nami i ujrzałem przyczynę dziwnego zachowania moich koni, które – jak się okazało – wcale nie było dziwne... Oto na środku drogi stały lwy i spoglądały w naszą stronę. Jeden z lwów potrząsnął dumnie grzywą i zaryczał tak donośnie, że z pobliskich drzew posypały się liście. Kowboj, mój konik bagażowy zarżał przestraszony, zerwał się z uwięzi, która łączyła go z Rysiem, i pognał co tchu przez zarośla. W ten sposób poznałem drugą różnicę pomiędzy rowerem i koniem. Rower nie lękał się dzikich zwierząt i nie uciekał na ich widok, a konie i owszem.

Nie mogłem zgubić Kowboja, gdyby zgubił się w buszu, lwy znalazłyby go bardzo szybko i pożarły biedaka. Popędziłem Rysia i pomknęliśmy śladem uciekiniera.

Nie pamiętam, jak długo galopowaliśmy – na przedzie przeżony Kowboj obładowany bagażami, za nim zaś ja na Rysiu. Oglądałem się co chwila, by sprawdzić, czy groźne lwy nie puściły się za nami w pościg. Na szczęście lwy nie biegły za nami, nie były widocznie głodne, a może nie miały dziś ochoty na podróżnika z Polski na kolację. Nagle poczułem, że Ryś i Kowboj zaczynają przyspieszać.

Czyżby jednak goniły nas lwy? – pomyślałem.

Gałęzie mijanych krzewów biły mnie po twarzy, pęd powietrza szumiał w uszach. Próbowałem hamować, ale bez skutku. Rumaki nie reagowały, galopowały coraz szybciej i szybciej, by nagle zatrzymać się... nad brzegiem małego, ukrytego pośród zarośli jeziora!

Zeskoczyłem z siodła. Konie uspokoiły się całkowicie, weszły do jeziora i zanurzyły pyski w chłodnej wodzie, pijąc łapczywie. Nabrałem wody do manierki i także gasiłem pragnienie.

– Tu rozbijemy obóz i odpoczniemy po tym szalonym biegu – postanowiłem.

– Ihahaha! Ihihih! – zarżały konie zadowolone.

– Przyznajcie się, uciekałyście ze strachu przed lwem czy spieszno wam było do wodopoju, który wyczuwałyście w pobliżu? – spytałem, ale Ryś i Kowboj nie odpowiedziały, parsknęły tylko tajemniczo i zaczęły ogryzać liście rosnących nad jeziorem krzewów.



◦ SZALONY STARUSZEK ◦

Z nastaniem wieczoru rozbiłem namiot pośród buszu i dla ochrony przed dzikimi zwierzętami otoczyłem obóz płotem z suchych gałęzi cierniowych. W takiej zagrodzie nawet płochliwe zazwyczaj konie czuły się bezpiecznie i ze spokojem przeżuwały suchą trawę, której specjalnie dla nich nazrywałem.

Roznieciłem ogień i usiadłem, by pisać listy przy świetle ogniska. Co jakiś czas pośród ciemności rozlegał się podejrzany odgłos, a to trzasnęła gałązka, a to kamień potoczył się po zboczu. Może jakieś zwierzę, a może duchy? Ułożyłem się przy ognisku spokojnie, bo gdy ma się strzelbę przy boku, niestraszne człowiekowi dzikie zwierzęta, ani nawet duchy.

Zasypiałem już, gdy w pobliżu rozległ się odgłos ludzkich kroków. Podniosłem się i ujrzałem, że w stronę obozu zbliża się zgarbiona postać z długą siwą brodą.

– Dobry wieczór – powiedział staruszek i usiadł przy ognisku.



– Dobry wieczór. Mam na imię Kazik, jestem podróżnikiem z Polski – przedstawiłem się.

– A ja przybyłem do Afryki szukać złota.

Staruszek wyciągnął z kieszeni brudną chustkę i rozwinął ją. Ujrzałem kilka grudek złota, połyskujących w blasku ogniska. Staruszek zawinął z powrotem swój skarb i schował głęboko do kieszeni.

– Złoto. Nikomu nie powiem, gdzie je znalazłem. Nikomu nie pokażę tego miejsca – mówił.

Dziwny człowiek – pomyślałem i ustawiłem czajnik nad ogniem, by poczęstować gościa herbatą.

– A ty, młody człowieku, także poszukujesz złota? – spytał staruszek, wpatrując się w płomienie.

– Nie – zaprzeczyłem. – Jestem reporterem. Interesują mnie ludzie, zwierzęta, krajobrazy. A złoto? Złoto nie interesuje mnie wcale.

– Na pewno szukasz złota. Wszyscy go szukają! Ja znalazłem, ale nie powiem gdzie. Przekłęte złoto! – Staruszek zaczął krzyczeć. – Gdyby nie złoto, mieszkałbym spokojnie razem z rodziną, nie włóczyłbym się po Afryce! – Znów wyciągnął chustkę ze swym skarbem. – Wiem, gdzie go trzeba szukać, ale nikomu nie zdradzę tajemnicy!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć szalonemu staruszkowi, w milczeniu podałem mu więc kubek z herbatą.

– Dziękuję – powiedział. – A ty, Kazik, ty także szukasz złota?

– Nie, mówiłem już...

– Ech, wszyscy szukają złota... ale ja nie powiem, gdzie je znalazłem. Nikomu nie powiem – gderał szalony staruszek.

Poświęcił całe życie na poszukiwanie złota w Afryce i nie potrafił już rozmawiać o niczym innym. Popijał herbatę, siorbiąc głośno, i powtarzał wciąż, że zna miejsce, w którym jest złoto, ale nikomu go nie wskaże. Gdy skończył pić, podziękował, wstał i odszedł. Znikł niczym duch w ciemnościach. Żałowałem, że nie skorzystał z mojej gościny i nie został na noc w obozie. Pewnie bał się o swoje skarby zawinięte w starą chustkę, nie wierzył, że nie jestem nimi wcale zainteresowany.

W obozie zaległa cisza; słychać było jedynie, jak konie chrupią suchą trawę.

– Dobranoc, moje koniki, spokojnej nocy – powiedziałem, zawinąłem się w koc i ponownie ułożyłem do snu.



POŻEGNANIE Z KONIAMI

Wędrowaliśmy znów cały dzień. Pod wieczór dotarliśmy do malowniczo położonej nad brzegiem rzeki plantacji. Moje konie zarżały z zadowolenia na widok drzew owocowych i pól kukurydzy, które otaczały gospodarstwo.

– Czy znajdzie się coś dla moich koni do jedzenia? Są bardzo głodne po długim marszu – spytałem farmera, który wyszedł nam na spotkanie.

– Oczywiście – odrzekł farmer. – Uprawiam tutaj kukurydzę, ananasy i bananowce, znajdzie się więc mnóstwo paszy dla twoich koni, a i dla ciebie również, podróżniku.

Koniki posilały się świeżymi liśćmi kukurydzy, a farmer oprowadził mnie po swojej plantacji. Gdy zeszliśmy nad rzekę, wskazał ręką przeciwległy brzeg i powiedział:

– Za rzeką Lulua rozciąga się bezkresna kraina pozbawiona dróg, porośnięta nieprzebytą dżunglą, poprzecinana mnóstwem

rwących rzek, na których nie znajdziesz mostów. Twoje konie nie zdołają pójść dalej.

Skoro tak się rzeczy mają – pomyślałem – z jeźdźca przeistoczę się w żeglarza i pokonam dalszą drogę łódką.

Zakupiłem od mieszkających w sąsiedztwie tubylców dwa czółna, połączyłem je ze sobą i przymocowałem do nich zbitą z desek budkę, by móc w niej chronić się na noc przed komarami. Stateczek ten niewielki nazwałem „Poznań”. Na rufie zatknąłem biało-czerwoną flagę, by wszyscy widzieli, że to polska łódź z polską załogą na pokładzie. Oczywiście całą załogę stanowiłem ja sam – byłem kapitanem, majtkiem, sternikiem, a nawet kucharzem w jednej osobie.

W dniu, w którym łódź była gotowa do rejsu i mogłem rozpocząć nowy etap podróży, udałem się do zagrody, by pożegnać się z moimi wiernymi towarzyszami.

– Ihahaha! – zarżał Ryś i wyszczerzył w moim kierunku zęby.

– Ihihihihii! – zawtórował mu Kowboj.

– No, moje dzielne rumaki, tu kończy się nasza wspólna podróż – powiedziałem do czworonożnych kompanów, one tymczasem z apetytem żuły liście kukurydzy i wydawały nie martwić się zbyt tym, że nie będą mogły towarzyszyć mi w dalszej podróży.

Podąłem im po jabłku i pogłaskałem po pyskach.

– Ihahaha! – zarżał Ryś, trącając mnie delikatnie chrapami.

– Zamieszkacie teraz na farmie nad rzeką. Tu będziecie bezpieczne – powiedziałem.



- Ihihihih! – odezwał się znów Kowboj.
– Tak – odpowiedziałem. – Farmer to dobry człowiek, zaopiekuje się wami.

– Ihahahaha! – Ryś zaczął grzebać kopytem w ziemi, jakby był czymś zaniepokojony.

– Nie, na pewno nie zabraknie wam jedzenia – odrzekłem.

– Tyle niedoli doświadczyłyście, gdy podróżowaliśmy razem, było wam głodno, nie mieliśmy wody, sił czasem brakowało, by iść dalej. Tu odpoczniecie po długiej podróży. Należą wam się wakacje.

– Ihahaha! Ihihih! – Tym razem oba koniki odezwały się jednocześnie i potrząsnęły wojowniczo głowami.

– Dobrze – uśmiechnąłem się. – Na pewno będę uważał na lwy i nie dam im się zjeść, obiecuję.

Wsiadłem do łódki, odepchnąłem się wiosłem i odbiłem od brzegu. Kowboj i Ryś żuły kukurydzę spokojnie, co parę chwil podnosiły łby i spoglądały w moją stronę. Pomachałem im na pożegnanie i spojrzałem przed siebie. Oto czekały na mnie nowe przygody i czyhały nieznane dotąd niebezpieczeństwa.





◦ ŻEGLUGA ◦

Płynąłem spokojnie, odpychając się co pewien czas długim wiosłem od porośniętego dzunglą brzegu. Wijąca się pośród zielonych tropikalnych lasów wstęga rzeki miała stanowić szlak mej podróży przez najbliższe tygodnie. Mówią, że w Afryce nie ma dobrych dróg, a tu, proszę, czyż rzeka Lulua nie stanowi pięknej drogi, po której doskonale można podróżować łodzią?

Żeglowałem beztrąsko, choć przyznać muszę, że nie było bezpiecznie, gdy tuż pod łodzią przepływały olbrzymie krokodyle lub gdy ciekawskie hipopotamy wystawiały wielkie łby z wody i usiłowały zajrzeć do środka mej łodzi.

– Halo, panie hipopotamie, proszę uważać na moją łódkę!
– zawołałem i potrząsnąłem groźnie wiosłem, ale hipopotam nie odpowiedział, parsknął tylko, jakby zagniewany, że zakłócam mu spokój. Po chwili ziewnął leniwie, rozdziawiając paszczę szeroko i ukazując potężne kły, a potem zanurzył swój tłusty łeb i znikł z pluskiem pod wodą.

Na szczęście „Poznań”, bo tak nazywała się łódź, dzielnie omijał wszystkie przeszkody w postaci wyglądających z wody tłustych hipopotamów, czy też pojawiających się co pewien czas zdradliwych wirów rzecznych.

Gdy zbliżał się wieczór, przycumowałem łódź do rosnącego tuż przy brzegu drzewa i postanowiłem zarzucić wędkę. Kto wie, może mi się poszczęści i złowię pyszną rybę na kolację? Jako przynętę wykorzystałem natrętną muchę, która od dłuższego czasu nie dawała mi spokoju, aż w końcu doigrała się i wylądowała na haczyku wędki. Rozsiadłem się wygodnie, zapaliłem fajeczkę i obserwowałem tkwiący nieruchomo na powierzchni wody spławik. Po paru minutach spławik drgnął i poczułem delikatne szarpnięcie. Wyciągnąłem wędkę z wody, na końcu haczyka trzepotała piękna złocista rybka.

Oto pyszna kolacja na dzisiejszy wieczór!

Chwyciłem rybę i zdjąłem ją z haczyka. Już chciałem sięgać po nóż, by sprawić zdobycz i przyrządzić posiłek, gdy nagle stało się coś niezwykłego. Ryba spojrzała na mnie wylupiastymi oczyma, wyszczerzyła w moim kierunku ostre zęby i zaczęła syczeć.

– Co to za sztuczki?! – spytałem zagniewany.

Ryba tymczasem pęczniała z każdą sekundą, aż w końcu zamieniła się w kulę najeżoną ostrymi kolcami. Odrzuciłem kłującego szkaradnego potworka. Ryba potoczyła się po pokładzie łodzi i syczała groźnie. Chwyciłem wiosło i uderzyłem nim w kolczastą kulę niczym w piłkę. Ryba wzniosła się wysoko, po czym z głośnym pluskiem wpadła do rzeki. Gdy tylko zna-

lazła się w wodzie, wypuściła powietrze i z kolczastej kuli zamieniła się z powrotem w zwyczajną rybkę, zatrzepotała płetwą na pożegnanie i znikła w mętnych wodach rzeki...

Oto uciekła moja kolacja – pomyślałem z żalem i sięgnąłem do torby po schowane na czarną godzinę suchary.

W pobliżu rozlegało się rechotanie żab, z daleka dochodziło parskanie hipopotamów. Znużony dniem pełnym wrażeń, ułożyłem się w kajucie. Gdy zasypiałem, w mojej głowie pojawiały się wciąż obrazki minionego dnia... Dryfowały po powierzchni rzeki tłuste hipopotamy, wylegające się na brzegu krokodyle szczyrzyły zęby, kolczasta ryba syczała i nadymała się buńczucznie... Nie wiedziałem, czy już śnię, czy wciąż wspominam żeglugę po malowniczych wodach rzeki Lulua...



◦ ROZBITEK ◦

„Poznań” płynął dumnie z nurtem rzeki, ja zaś, nie mając nic do roboty, wypoczywałem, czyli leniuchowałem, oganiając się tylko od natrętnych much. Dobijałem co pewien czas do brzegu, by od mieszkających w dżungli ludzi kupić owoc albo rybę na kolację. Dziwili się wtedy bardzo, bo nigdy jeszcze nie widzieli w tych stronach białego człowieka.

Pewnego dnia ujrzałem płynący z naprzeciwka wielki statek handlowy. Już z daleka słychać było stukot maszyn, potężny silnik pchał statek w górę rzeki. Na mostku stał kapitan, ubrany w mundur z pozłacanymi guzikami i czapkę z białym daszkiem, i spoglądał dumnie przed siebie.

– Dzień dobry! Cóż to za jednostka pływająca?! – krzyknął kapitan na mój widok. – Takiej łodzi nie widziały jeszcze afrykańskie rzeki!



– Witam! To „Poznań”, statek pod polską banderą. Niewielki, owszem, ale dzielnie sobie radzi na tych niebezpiecznych wodach – zawołałem.

– Niech pan uważa, dalej napotka pan wielkie wiry wodne. Tam na pewno nie da pan sobie rady! – wrzeszczał kapitan.

– Poradzę sobie! – odpowiadałem, składając obie dłonie w trąbkę i przykładając do ust, by kapitan lepiej mnie słyszał.

– Panie, tam w dole rzeki nawet duże statki toną, a co dopiero taka łódeczka! – ostrzegał życzliwy kapitan.

– Pokonam wszystkie przeszkody, proszę się nie bać! Obiecałem rodzinie, że wrócę cały i zdrowy do domu! Muszę dotrzymać słowa! – uspokajałem go. – Lew mnie nie pożał, w bagnach nie utonąłem, to i z rzeką sobie poradzę!

Chwyciłem się burty, by nie wpaść do wody, gdy mój „Poznań” zakołysał się niebezpiecznie na falach wywołanych przez mijający nas statek.

– Proszę uważać na siebie! – zawołał kapitan na pożegnanie.

Statek oddalał się, cichł stukot silnika i wkrótce zostałem znów sam pośrodku rzeki. Dryfowałem spokojnie z jej nurtem i nic nie wskazywało na czyhające na trasie niebezpieczeństwa.

A jednak następnego dnia wspomniałem słowa kapitana, który wiedział dobrze, co mówi, ostrzegając mnie przed zmiennymi humorami rzeki. Niebo zaciągnęło się ciężkimi deszczowymi chmurami, rozpętała się wichura i potężna burza dopadła mnie na samym środku niespokojnej rzeki. Wicher, deszcz i wzburzone fale gnały łódź, niczym w paszczę rozszalałego potwora.

Potężny wir wyrwał mi wiosło z rąk, fale wlewały się na pokład, bałem się, że łódź przewróci się, a ja wpadnę do spienionej rzeki razem z całym bagażem. To byłby koniec mojej podróży!

Wtem ujrzałem ląd, który jakby wyrósł na mej drodze. Ratu- nek! Rozpędzona łódź z impetem wpadła na piaszczysty brzeg, a ja wyleciałem z niej niczym z procy i wylądowałem na mokrym piasku. Wszędzie dookoła leżały moje bagaże, które podobnie jak ja wyfrunęły z łodzi w momencie katastrofy i podobnie jak ja były całkowicie przemoczone. Ufff... W trakcie podróży przez Afrykę byłem już rowerzystą, jeźdźcem, żeglarzem... a teraz zo- stałem rozbitkiem.





◦ WYSPA HIPOPOTAMÓW ◦

Bylem rozbitkiem. Postanowiłem rozbić namiot i odpocząć na stałym lądzie po wyczerpującej przygodzie z burzą. Wyciągnąłem czółno na brzeg, rozłożyłem przemoczone bagaże oraz ubrania na trawie, by przez noc wyschły, i w samych gatkach udałem się na obchód okolicy. Okazało się, że wylądowałem na bezludnej wyspie, leżącej na samym środku wzburzonej rzeki. Poczułem się niczym król nowo odkrytego w samym środku Afryki lądu! Mały to wprawdzie skrawek, ale mój własny! Kazik, król wyspy!

Powiecie, że królowi nie wypada przechadzać się po swym królestwie w majtkach. Odpowiem wam, że wypada, jeśli nikt tego nie widzi, a któż mógł mnie zobaczyć, skoro na wyspie oprócz mnie nie było żadnych ludzi?

Znużony ciężkim dniem, ułożyłem się do snu i ledwie przyłożyłem głowę do tobołka, który zastępował mi poduszkę, zaśnąłem jak kamień. W środku nocy obudziły mnie tajemnicze

odgłosy, jakieś pochrząkiwanie, dziwne parskania. Wystawiłem głowę na zewnątrz, by sprawdzić, co jest przyczyną tego nocnego zamieszania, i w świetle latarni ujrzałem na wprost wejścia do namiotu gromadę tłustych hipopotamów zbliżającą się ku memu obozowisku.

Wyskoczyłem w popłochu z namiotu i wdrapałem się błyskawicznie na drzewo. Hipopotamy, gdy się zdenerwują, bywają niezwykle niebezpieczne, potrafią rozszarpać człowieka na strzępy, a mogły się przecież zdenerwować, widząc, że na pastwisku, na którym co noc kosztują świeżej soczystej trawy, jakiś podróżnik rozłożył przemoczoną bieliznę.

Siedziałem pośród gałęzi, marzęłem i spoglądałem na hipopotamy buszujące bezczelnie po obozowisku. Stwory porykiwały do siebie jakby zdziwione tym, że ktoś śmiał pojawić się





na ich wyspie. Jeden z młodych hipopotamów pochwycił aparat fotograficzny i biegał z nim dookoła drzewa, na którym się schroniłem, inny zaglądał do namiotu, jeszcze inny wsadził sobie na łeb koszulę, a ja mogłem się jedynie bezradnie przyglądać tym wygłupom. Cóż, wyspa była bezludna, ale to nie znaczyło, że niezamieszкана. Jak widać, miała mieszkańców, nawet całkiem sporych.

W końcu usnąłem. Obudził mnie głośny plusk wody. To hipopotamy wracały do rzeki. Świtało. Zlazłem z drzewa i spojrzałem na porozrzucane przedmioty i ubrania; wokół panował straszny rozgardiasz.

– Żeby w ten sposób potraktować własność króla wyspy, to skandal! – zawołałem w kierunku kąpiących się w rzece hipopotamów i pogroziłem im pięścią, ale one pluskały się w wodzie i nie zwróciły najmniejszej uwagi na moje krzyki. W końcu to one były prawowitymi władcami wyspy.

W pośpiechu spakowałem się, wrzuciłem bagaże do łodzi i odbiłem od brzegu. Nie miałem ochoty na kolejne spotkanie z gromadą rozwydrzonych hipciów. Niebo wypogodziło się całkowicie. Cekał mnie pogodny dzień, jeden z ostatnich dni spędzonych na rzece, już bowiem niedaleko było do Leopoldville, portu rzecznego, który miał stanowić kres mej afrykańskiej żeglugi.



◦ MIASTO ◦

Gdy dotarłem do portu rzecznego Leopoldville, zewsząd witały mnie zdziwione spojrzenia i słowa niedowierzania. Nikt w tych stronach nie słyszał ani nie widział jeszcze, by podróżnik żeglował w podobny sposób.

- Na takiej małej łódeczce?
- Przecież to niebezpieczne!
- A krokodyle?
- A hipopotamy?
- A zdradliwe wiry rzeczne?

Słuchałem tych pytań i tylko uśmiech igrał na mej twarzy. Jak mógłbym wytłumaczyć ludziom, którzy nigdy nie żeglowali po afrykańskich rzekach, ile radości dały mi te piękne chwile, które spędziłem na łódce?

W portowym sklepie postanowiłem zakupić rower, którym mógłbym udać się w dalszą podróż.

– Poproszę ten. – Wskazałem sprzedawcy stojącą w kącie zakurzoną maszynę.

– Dobry wybór – pochwalił sprzedawca. – To bardzo stary, ale bardzo dobry rower. Od wielu lat czeka w moim sklepie na kupca.

– Właśnie znalazł – odpowiedziałem z uśmiechem.

Przyznam się wam, że wybrałem akurat ten, bo przypominał mi bardzo mój poprzedni rower, który przejechał wraz ze mną całą Afrykę.

Miałem już środek lokomocji, jednak przed wyruszeniem w dalszą podróż musiałem udać się do urzędu, by uzyskać odpowiednie pozwolenia. Zapukałem do drzwi i uchyliłem je nieśmiało. Za wielkim biurkiem siedział urzędnik; ledwie go było widać zza sterty dokumentów.

– Dzień dobry, jestem Kazik z Polski – przedstawiłem się.
– Podróżuję po Afryce jako reporter.

– Proszę pokazać paszport – burknął urzędnik w odpowiedzi.

Podąłem mu swój paszport. Książeczka miała zniszczoną okładkę, aż kolorowo w niej było od znaczków i stempelków, ale przecież tak właśnie wygląda paszport prawdziwego podróżnika.

– Pana paszport jest nieważny! – wykrzyknął urzędnik. – Musi pan zapłacić za przedłużenie ważności paszportu.

Wysuplałem z kieszeni resztkę pieniędzy i opłaciłem ważność paszportu.

– Czy teraz mogę udać się w dalszą podróż? – spytałem.

– Nie! – zaprzeczył urzędnik. – Wpierw musi pan udać się do Urzędu do spraw Polowań i uzyskać pozwolenie na przewóz broni, potem w Urzędzie do spraw Chorób Tropikalnych zdobyć



świadectwo szczepień przeciwko chorobom tropikalnym, potem w Urzędzie do spraw Podróżników zaświadczenie, że jest pan podróżnikiem... – Urzędnik długo wymieniał wszystkie sprawy, którymi musiałem się zająć, aż w końcu zakończył swą wyliczankę: – ...a gdy pan już wszystko będzie miał, proszę wrócić do mnie, wbiję wtedy w pańskim paszporcie odpowiedni stempel.

Całe dwa dni spędziłem, biegając po urzędach, nim udało mi się skompletować niezbędne pieczętki i pozwolenia. Były to najbardziej męczące dwa dni podczas mej podróży przez Afrykę.

Trzeciego dnia rano, dźwigając gruby plik papierów, zjawiłem się ponownie u urzędnika. Ten poprawił okulary na nosie, przyjrzał mi się uważnie, obejrzał wszystkie dokumenty, po czym otworzył szufladę, wydobył z niej wielki zielony stempel z napisem **DOKUMENTY KOMPLETNE** i przybił w paszporcie.

– Szczęśliwej podróży życzę – powiedział, oddając paszport.

Chwyciłem paszport i pobiegłem do wyjścia. Spieszyłem się bardzo w obawie, by urzędnik nie przypomniał sobie o jakichś jeszcze dokumentach, które powinienem mu dostarczyć. Wskoczyłem na rower i w chwilę potem toczyłem się w stronę dżungli okalającej miasto. Serce radowało się na myśl o tym, że oto znów otoczy mnie dzika przyroda... i że będę mógł odpocząć po trudnych dniach spędzonych w mieście wśród ludzi.



◦ LEKTYKA ◦

Z portu Leopoldville, gdzie zakończyłem żeglugę po afrykańskich rzekach i skąd rowerem ruszyłem w dalszą podróż, wiodła na północ grząska, zarośnięta ścieżyna, którą nie sposób było jechać. Pchałem swą maszynę przed sobą i brnąłem powoli przez błoto. Oto wróciły ciężkie dni przeprawy przez afrykańską dżunglę.

Któregoś dnia ujrzałem nadbiegających z naprzeciwka ludzi z pustą bambusową lektyką na ramionach. Tragarze zatrzymali się przede mną, postawili lektykę na ziemi i zawołali:

– Wielki podróżniku, nasz władca wita cię w swym królestwie! Zapraszamy, siądź w lektyce, a my poniesiemy cię do stolicy!

– Dziękuję, mili ludzie – odrzekłem – ale nie skorzystam z waszego zaproszenia. Zwykłem podróżować o własnych siłach i tym razem także dotrę wraz z moim rowerem samodzielnie do waszej stolicy.



Mężczyźni z lektyką zawrócili i pobiegli z powrotem tam, skąd przybyli, ja zaś powlokłem się dalej błotnistą ścieżką. Nie miałem ochoty na podróż lektyką, bo cóż byłby to za podróżnik, którego inni ludzie niosą na swych barkach?

Nie upłynęła godzina, gdy ponownie ujrzałem tragarzy z lektyką. Zatrzymali się przede mną, z lektyki zaś wysiadł władca we własnej osobie.

– Witaj, podróżniku!

– Witaj, władco – odpowiedziałem.

– Przepraszam za zły stan dróg w mym kraju. – Władca wskazał na głębokie kałuże na ścieżce.

– Nie przeszkadzają mi rozmokłe ścieżki, przywykłem już do trudów podróżowania po Afryce – odrzekłem.

– Moi ludzie mówią, że odmówiłeś skorzystania z lektyki, którą po ciebie posłałem.

– To prawda, władco – odpowiedziałem. – Przepraszam, jeśli cię tym uraziłem, ale jestem podróżnikiem i staram się nie korzystać z ułatwień w podróżowaniu.

– Cóż... – zamyślił się władca. – Pragnąłem po królewsku powitać cię i ugościć w mym kraju, skoro jednak pragniesz pokonać drogę do mej stolicy pieszo, pozwól, że będę towarzyszył ci w tym spacerze.

– Będę zaszczycony – ucieszyłem się. – Wspólny spacer z władcą to najbardziej królewskie powitanie, jakie mógłbym sobie wymarzyć!

I tak ruszyliśmy zabłoconą drożyną prowadzącą do stolicy kraju. Pchałem oblepiony gęstym błotem rower, obok mnie marszerował władca i opowiadał o zwyczajach panujących w jego królestwie, za nami zaś podążali ludzie z królewskiego orszaku i nieśli pustą lektykę.



◦ W KRAJNIE LUDOŻERCÓW ◦

Każdy dźwięk rozlegający się w otaczającym mnie mrocznym lesie budził niepokój. Usłyszawszy tajemniczy szmer pośród listowia, dostawałem gęsiej skórki ze strachu, zaś trzask gałązki powodował, że moje serce zaczynało walić jak młotem. Nic dziwnego, wszak nasłuchiwałem się wielu mrozących krew w żyłach opowieści o żyjących w tej okolicy okrutnych ludożercach zwanych Abasalampasu. Mówiono, że Abasalampasu każdego przybysza witają posyłanymi z ukrycia zatrutymi strzałami, a gdy trucizna sparaliżuje ofiarę, przywiązują nieszczęśnika do długiej gałęzi, niosą do swych siedzib głęboko w lesie, tam wrzucają do kotła i gotują długo, długo... aż przyjdzie pora kolacji..

– Uaaaaaa! – wrzasnąłem przerażony, oto bowiem stanąłem oko w oko z „okrutnym ludożercą”. Na wprost mnie, pośrodku ścieżki, którą podążałem, pojawiła się czarnoskóra postać z kościanym kolczykiem w nosie i włócznią w dłoni.



– Uaaaaaa! – wrzasnął obcy na mój widok.

Aha, to okrzyk bojowy ludożercy – pomyślałem, zamiast jednak uciekać, stałem jak wryty i nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu.

Nie mogę się ruszyć ze strachu czy zostałem trafiony zatrutą strzałą? – zastanawiałem się.

Przyglądałem się nieznajomemu, on zaś wpatrywał się we mnie otwartymi szeroko oczyma i... tak, to wydawało się w tym wszystkim najbardziej zdumiewające: „okrutny ludożerca” wyglądał na równie przerażonego, jak ja!

– Czy ty jesteś Abasalampasu? – spytałem cicho.

– A czy ty jesteś biała człowiek? – spytał cicho nieznajomy.

– Jestem Kazik, podróżnik z Polski – odrzekłem.

– Ja jest myśliwy Abasalampasu – powiedział mężczyzna. – Ja zląkł się mnóstwo na twój widok, nigdy wcześniej nie spotkał biała człowiek, a słyszał o biała człowiek mnóstwo straszna opowieść.

Z tego, co mówił myśliwy, wynikało, że zdrowo przestraszył się na mój widok.

– Ja także się przestraszyłem – odpowiedziałem. – Słyszałem, że ludzie z plemienia Abasalampasu to ludożercy i że strzelają z łuków zatrutymi strzałami...

Myśliwy zaczął śmiać się na cały głos.

– Ha, ha, ha... A ja słyszał, że każdy biała człowiek to bezlitosna porywacz... A czy ty, Kazik... ha, ha, ha... czy ty jesteś bezlitosna porywacz, która porywa dzieciątka i czyni z nich swoja niewolnik?

– Oczywiście, że nie jestem żadnym porywaczem dzieci – odrzekłem zdziwiony i po chwili także zacząłem głośno się śmiać.

Okazało się, że obaj nasłuchaliśmy się nieprawdziwych historii i że zupełnie niepotrzebnie baliśmy się siebie nawzajem, bo ani ja nie jestem bezlitosnym porywaczem dzieci, ani myśliwy nie jest okrutnym ludożercą.

Myśliwy zaprosił mnie do swej wioski. Postanowiłem skorzystać z jego gościnności. Ruszyliśmy leśną ścieżką do wioski Abasalampasu, ptaki śpiewały w całym lesie, motyle trzepotały skrzydłami, krążąc wokół wonnych kwiatów, a małpy przysiadły na najwyższych gałęziach i spoglądały zdziwione na dwóch ludzi, czarnoskórego i białego, wędrujących ścieżką i wybuchających co chwila gromkim śmiechem.



◦ CZAROWNIK ◦

Przebywając z gością w wiosce Abasalampasu, często przesiadywałem w towarzystwie czarownika, który najlepiej ze wszystkich mieszkańców wioski władał językiem białych ludzi i który bardzo chętnie opowiadał o plemiennych zwyczajach Abasalampasu. Zaintrygowany naszyjnikami z kości i pazurów, które zdobiły jego szyję, spytałem pewnego razu, czemu służą tak nietypowe ozdoby.

– To amulety, Kazik – odrzekł czarownik. – Amulety pomagają leczyć wszelakie choroby, przyzywają deszcz w czasie suszy, odganiają złe duchy...

– Potrafisz odgonić złe duchy? – spytałem zdziwiony.

– Tak – potwierdził czarownik. – Złe duchy omijają naszą wioskę, gdy ja jestem na miejscu.

– Potrafisz przywołać deszcz albo wyleczyć chorego za pomocą amuletów, czyli znasz się na czarach? – dopytywałem dalej.

– Tak, tym właśnie zajmują się czarownicy. Niestety, nie potrafię leczyć chorych na odległość, dlatego bardzo martwię się o mego brata, który mieszka daleko, a dowiedziałem się, że zachorował i ma wysoką gorączkę.

Czarownik wyglądał na bardzo zmartwionego, gdy opowiadał o chorobie brata.

– Dlaczego nie odwiedzisz brata i nie pomożesz mu w walce z chorobą?

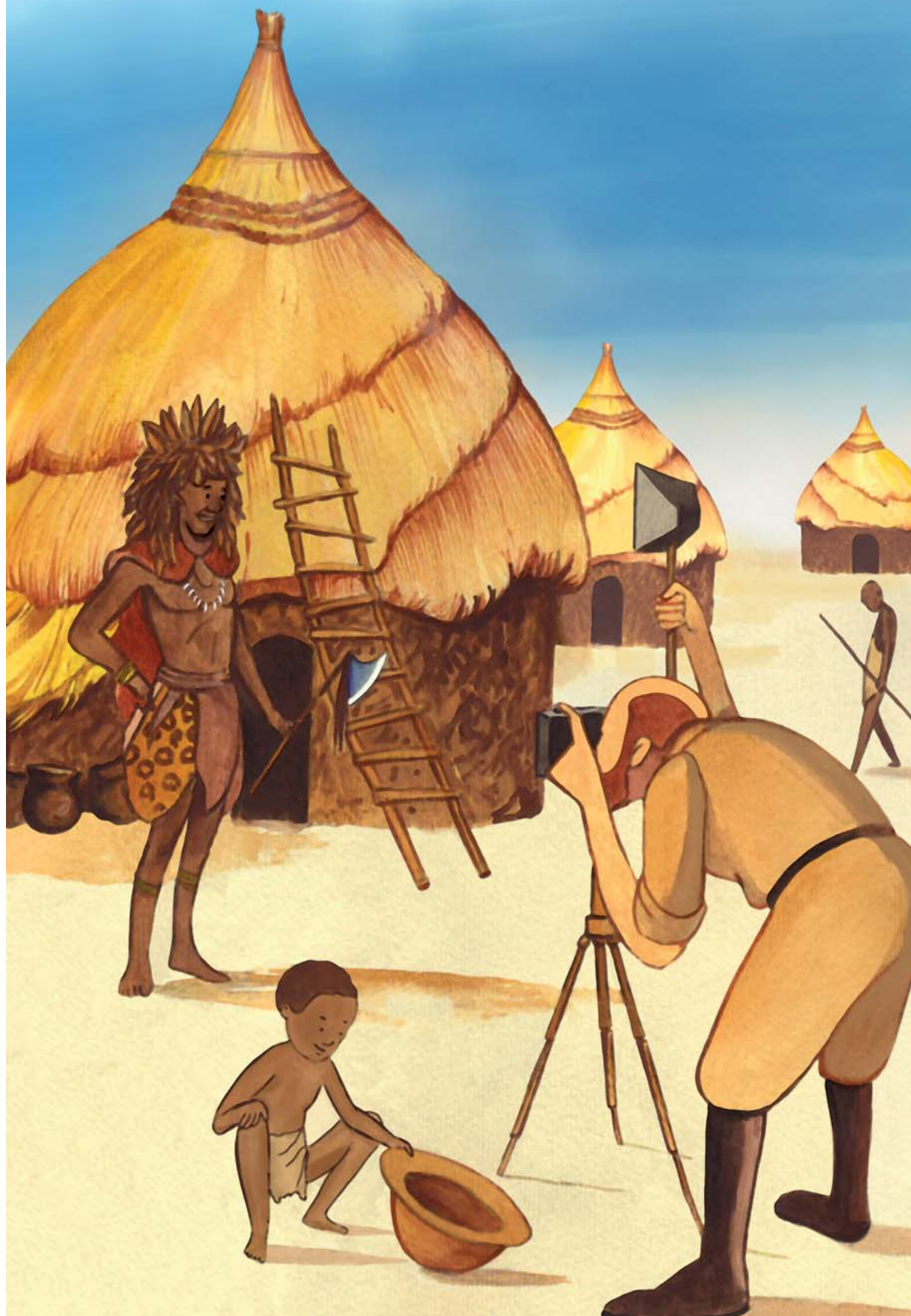
– Nie mogę – odrzekł czarownik. – Mój brat mieszka bardzo daleko. Gdybym udał się do niego w odwiedziny, nie byłoby mnie w wiosce przez kilka dni i nie mógłbym strzec jej przed złymi duchami.

– Hm, ale złe duchy zostawią wioskę i jej mieszkańców w spokoju, gdy będzie w niej czarownik, tak? – spytałem, a czarownik potwierdził, że tak właśnie jest.

Wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl. Poprosiłem czarownika, by stanął przed swoją chatą, ustawiłem na statywie aparat fotograficzny i zrobiłem zdjęcie.

– Za godzinę wrócę – zawołałem. – Przyniosę coś, co pomoże rozwiązać twój kłopot.

Pobiegłem do swego namiotu, by w ciemności wywołać zdjęcie. Gdy zrobiłem odbitkę i przyjrzałem jej się, aż krzyknąłem z wrażenia. Z fotografii spoglądał na mnie dumnym wzrokiem czarownik, ubrany w pióropusz z barwnych piór i obwieszony amuletami. Pośpieszyłem z powrotem do chaty czarownika.



– To czary! To ja jestem na tym papierze! – wykrzyknął czarownik na widok zdjęcia.

– Tak, to czarownik niczym żywy – odrzekłem. – Jeśli ustawisz fotografię w drzwiach swej chaty, złe duchy na jej widok na pewno ominą wioskę, ty tymczasem będziesz mógł udać się w odwiedzinę do brata i pomóc mu w walce z chorobą.

– Oj, Kazik, ty to się dopiero znasz na czarach! – ucieszył się czarownik i uściskał mnie z całych sił. – Pozwól, że w podziękowaniu za pomoc podaruję ci ten oto amulet. – Czarownik podał mi wykonany z piór naszyjnik. – On ochroni cię przed wszelkim niebezpieczeństwem i sprawi, że każde stworzenie, które napotkasz na swej drodze, będzie twoim przyjacielem.



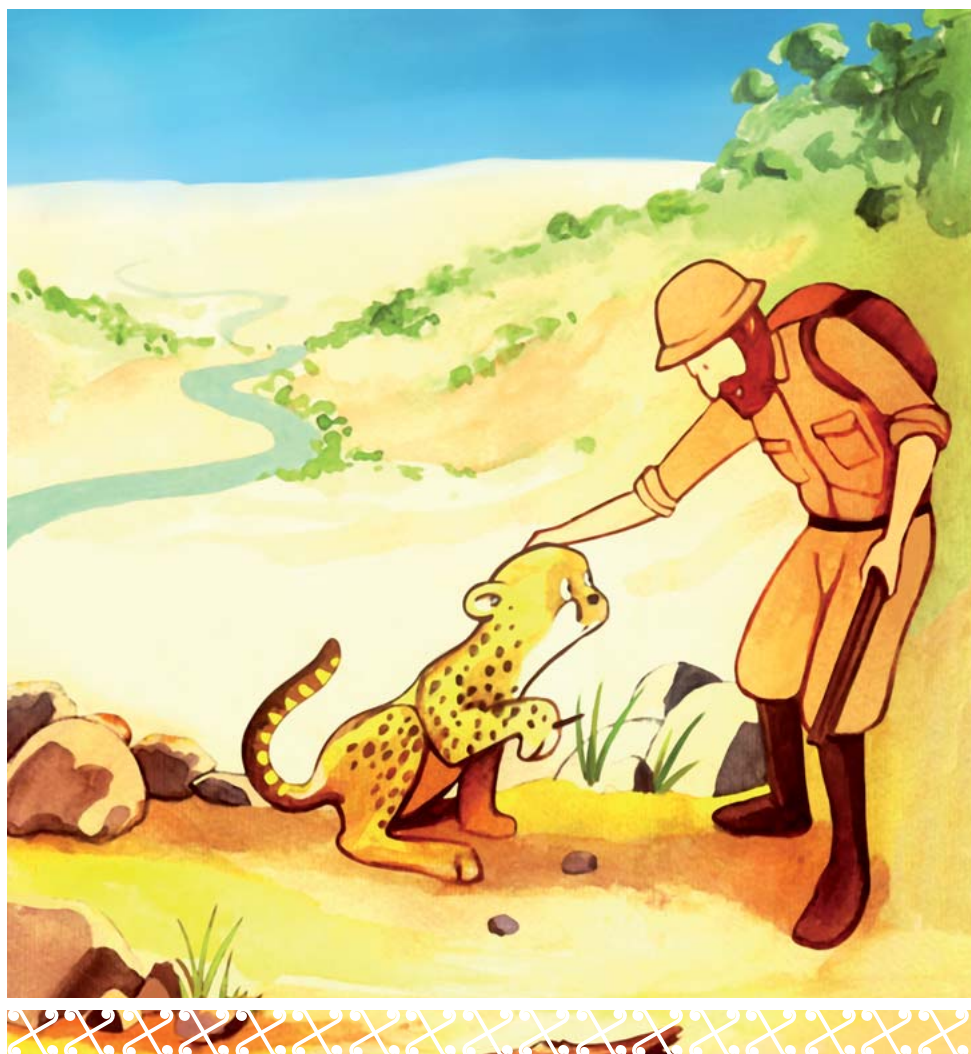
◦ RANNY GEPARD ◦

Pot lał się ze mnie strumieniami, gdy wspinałem się na wzgórze oddzielające bezkresną sawannę od rzeki, nad której brzegiem planowałem rozbić obóz. Osiągnąłem szczyt wzniesienia i rozejrzałem się po okolicy. Pośród morza szumiących traw rodzina dzikich gepardów szykowała się do łowów. Z jednej strony żałowałem, że zwierzęta są daleko i nie mogę zrobić im zdjęcia, z drugiej zaś cieszyłem się, że są tak daleko i że nie stanę się ich łupem.

Zszedłem na drugą stronę wzgórza, ku zielonej dolinie, której środkiem wiła się błyszcząca w słońcu rzeka. Rozstawiłem namiot i zabierałem się właśnie do wzniesienia ogniska, gdy w pobliżu rozległo się miauczenie.

Co to za głos? Wydaje się, jakby ktoś płakał – pomyślałem.

Wyciągnąłem z torby strzelbę i skierowałem się ku miejscu, z którego dochodził tajemniczy głos. Lufą strzelby rozchyliłem



krzaki i ujrzałem młodego geparda, który siedział, trzymając przednią łapę w powietrzu, i miauczał żałośnie.

– Co się stało, kotku? – spytałem z troską i pochyliłem się nad gepardziątkiem.

Z rany w łapie wystawał długi paskudny kolec. Sięgnąłem, wydobylem kolec i przemyłem ranę mokrą chustką. Dziki kociak

znosił zabieg bardzo cierpliwie, a gdy zabandażowałem mu łapkę, by ochronić przed zabrudzeniem, zaczął mruczeć zadowolony.

– Co mam teraz z tobą zrobić? Z ranną łapą nie poradzisz sobie w tej dziczy, nie upolujesz nic, ani nie uciekniesz przed złośliwymi hienami... – zastanawiałem się głośno.

Wtedy przyszedł mi do głowy nieco szalony pomysł. Odszukałem pośród swego prowiantu sztukę suszonego mięsa, przywiązałem ją do długiego sznurka i podetknąłem pod nos rannemu gepardowi. Stworzenie wyciągnęło szyję i zaczęło obwąchiwać przynętę. Pociągnąłem za sznurek, gepard wstał i, kulejąc, zrobił parę kroków w pogoni za posuwającym się wśród trawy kawałkiem mięsa.

– Dobrze, mały, tak trzymaj! – zawołałem i powoli ciągnąłem przynętę, a młody gepard kuśtykał w ślad za mną.

– Dobry kotek – pochwaliłem cętkowanego kolegę, który mimo bólu w łapie wspinał się dzielnie za mną. W taki sposób dotarliśmy na sam szczyt wzniesienia, z którego wcześniej obserwowałem okolicę. Spojrzałem w dół na sawannę. Widoczna w oddali rodzina gepardów upolowała właśnie zebłą i szykowała się do kolacji.

– Spójrz, tam, w dolinie, czeka na ciebie twoja rodzina! – zawołałem.

Rzuciłem sztukę suszonego mięsa w trawę; młody gepard podbiegł do niej i zaczął szarpać mięso zębami, gdy wtem ujrzął grupę gepardów na sawannie.

– Miau! – pisnął kociak.

Gepardy uniosły głowy, spojrzały w naszym kierunku i zawyły w odpowiedzi. Struchlałem ze strachu.

Jeśli teraz przyjdzie im do głowy rzucić się na mnie, dopiero będę miał za swoje – pomyślałem.

Gepardy spoglądały na siebie i wydawało się, że nie zauważyły mnie w ogóle. Ranny kot zaczął zbiegać ze wzgórza w stronę swej rodziny, jakby zapomniał o skaleczonej łapie. Odetchnąłem z ulgą, gdy wtem serce znów mi zamarło – gepard zatrzymał się, zawrócił i skierował z powrotem w moją stronę.

Teraz dzikie bestie mnie rozszarpia – pomyślałem przerażony.

Nie wiedziałem, co robić. Mogłem wprawdzie uciekać, na nic by się to jednak zdało. Gepard to najszybsze zwierzę na świecie, dogoniłby mnie w parę chwil.

Dziki kot zbliżył się. Wstrzymałem oddech i w bezruchu oczekiwałem, co się wydarzy. Tymczasem młody gepard zamiast rzucić mi się do gardła... polizał mnie po ręce szorstkim językiem, po czym kulejąc lekko na jedną łapę, potruchtał z powrotem do swego stada. Czyżby wrócił jedynie po to, by podziękować mi za opatrzenie rannej łapy i pomoc w odnalezieniu rodziny?

Mówią, że gepard to strasznie dziki i niebezpieczny zwierzę... a to po prostu takie trochę większe kocisko... – pomyślałem i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wróciłem do obozowiska nad rzeką.



◦ KARAWANA ◦

Gdy przybyłem do fortu granicznego Bir Ueli, odbywał się właśnie targ zwierząt. Na gwarnym placu targowym roiło się od wielbłądów, osłów, kóz, kur i wszelakich innych zwierząt domowych. Z trudem przecisnąłem się z rowerem przez tłum, by zameldować się u naczelnika.

– Dzień dobry, jestem Kazik z Polski.

– Dzień dobry – odpowiedział naczelnik. – Jak mogę pomóc?

– Chciałbym przekroczyć granicę i udać się na północ.

– To niemożliwe! – wykrzyknął naczelnik. – W kierunku północnym rozpościera się Sahara, największa pustynia na świecie! Samotny podróżnik z rowerem nie zdoła jej przebyć, nie weźmie z sobą niezbędnej ilości wody, a gdy zabraknie wody, czeka pana niechybna śmierć. To niemożliwe i kropka!

– Jak to? – spytałem zdziwiony. – Jak zatem mam wrócić do domu, jeśli nie wolno przejść przez pustynię?! Nie istnieje przecież inna droga.



– Przepisy nie zezwalają samotnym podróżnikom na przeprawianie się przez pustynię i kropka! – Naczelnik był uparty. – Pustynię mogą przemierzać jedynie karawany wielbłądów, które zabiorą z sobą wystarczający zapas wody!

Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł.

– Mówi pan, że karawana mogłaby przeprowić się przez pustynię? – spytałem naczelnika.

– Oczywiście.

– Czy zatem jeśli kupię wielbłąda, będę mógł ruszyć w drogę?

Naczelnik podrapał się po głowie z zakłopotaniem.

– No, nie wiem. Jeden wielbłąd nie stanowi karawany... chyba...

– Ależ stanowi. To by była najmniejsza karawana na świecie, ale jednak karawana! – Nie dawałem za wygraną.

– Cóż, jeśli będzie panu towarzyszył wielbłąd i weźmie pan odpowiedni zapas wody, będzie pan mógł przejść przez pustynię.

– I kropka? – spytałem, wyciągając dłoń.

– I kropka! – potwierdził naczelnik i uściśnął moją dłoń serdecznie.

Prosto z biura naczelnika udałem się na targ, gdzie zakupiłem pięknego białego wielbłąda o imieniu Ueli. Nazajutrz rano przytroczyłem rower do grzbietu garbusa i ruszyliśmy, by pokonać ostatni etap mojej podróży – Saharę. Gdy opuszczałem fort, w oknie swego gabinetu stał naczelnik i spoglądał, jak odjeżdżam. Pomachałem mu na pożegnanie, po czym popędziłem na północ własną karawanę, złożoną z jednego wielbłąda. To była rzeczywiście najmniejsza karawana na świecie.



◦ MADRY WIELBŁĄD ◦

Podróżowałem już rowerem, konno, czółnem, ale jazda na wielbłądzie była dla mnie całkiem nowym przeżyciem. Dostojny dromader, maszerując, kołysał się niczym okręt na morzu i chwilami kręciło mi się w głowie, przekonałem się jednak szybko, że jest to najlepszy środek lokomocji na pustyni.

Wspiąłem się na szczyt piaszczystej wydmy, z której ujrzałem falującą w oddali wodę. Ucieszyłem się na myśl, że oto znaleźliśmy jezioro pośrodku pustyni, kończyły nam się bowiem zapasy wody. Popędziłem wielbłąda w stronę jeziora, on jednak nie chciał mnie słuchać i uparcie odwracał się w przeciwnym kierunku.

– No, chodź, Ueli, mój kochany zwierzaku! Spójrz, tam widać jezioro, napijesz się wreszcie wody do woli! – wołałem, ciągnąc go za uzdę z całych sił.

Ale Ueli zapierał się kopytami w piasku i za nic w świecie nie chciał iść za mną. Zmartwiony usiadłem na ziemi.





Co robić? Sam przecież nie pójdę, nie zostawię tu mojego wielbłąda – myślałem gorączkowo.

Wtedy ujrzałem karawanę kupców. Dwadzieścia pięknych dromaderów dumnie kroczyło poprzez pustynię, niosąc na swych grzbietach towary znad morza.

– Ahoj! – zawołałem.

– Witaj, podróżniku! Dokąd wędrujesz? – zakrzyknął poganiacz maszerujący na przedzie karawany.

– Chcę iść w stronę jeziora – wskazałem fałującą wodę, widoczną na horyzoncie – ale mój wielbłąd uparł się, by iść w przeciwną stronę!

Na te słowa poganiacz roześmiał się:

– Twój wielbłąd ma rację. Słuchaj go, podróżniku, bo to mądre stworzenie.

– Jak to? – spytałem zaskoczony.

– To, co wygląda jak jezioro, nie jest jeziorem – tłumaczył poganiacz.

– Czyżby wzrok mnie mylił? – zdziwiłem się.

– Tak – potwierdził poganiacz. – To złudzenie. Na pustyni gorące powietrze tworzy czasem obrazy, zwane fatamorganą. Wydaje nam się, że widzimy wodę lub miasto, ale to jedynie obraz w rozgrzanym powietrzu. Szedłbyś dłu-

go, padłbyś z pragnienia, ale do jeziora byś nie dotarł, bo go tam nie ma.

– Zatem w którym kierunku powinienem iść, by dotrzeć do wodopoju? – spytałem.

– Posłuchaj swego wielbłąda. To zwierzę pustyni, tu się urodziło i tu spędziło całe życie. Wielbłąd wyczuje wodę z wielkiej odległości. Idź tam, skąd przybywamy, po naszych śladach jeszcze przed wieczorem dotrzecie do oazy, w której znajdziecie wodę i palmy pełne owoców.

– Dziękuję za dobrą radę!...

Karawana kupców ruszyła dalej.

– Hej, a jak daleko jest do morza?! – zawołałem.

Poganiacz odwrócił się i krzyknął:

– Niedaleko, za siedem dni ujrzysz morze, przyjacielu. Szczęśliwej drogi!

Karawana pomaszerowała dalej przez pustynię, ja zaś ruszyłem w kierunku oazy, odtąd jednak nie ja, ale mądry Ueli obrał drogę.



◦ OAZA ◦

Długie dni, wypełnione monotonnym marszem przez pustynię, były dla mnie i mojego dromadera bardzo wyczerpujące, toteż widok zielonych pól oraz szumiących gajów palm daktylowych, otaczających oazę, bardzo nas obu uradował. Minęliśmy poprzecinane kanałami nawadniającymi ogrody i wkroczyliśmy w labirynt wąskich uliczek. Dotarliśmy do placu, pośrodku którego znajdowała się studnia. Na kamiennej ławie siedział mężczyzna, a obok niego drzemał stary wielbłąd o posiwiałej sierści na pysku.

– Dzień dobry – ukloniłem się.

Na dźwięk powitania mężczyzna uniósł głowę, zaś leżący przy studni sędziwy wielbłąd otworzył jedno oko, by przyjrzeć się przybyszom.

– Witam serdecznie! Skąd przybywasz? – spytał mężczyzna.

– Jestem Kazik z Polski. Przemierzyliśmy z moim wielbłądem Uelim szmat pustyni i jesteśmy bardzo spragnieni.

– Zapraszam! Jestem strażnikiem studni. Dbam o to, by woda z tej studni gasiła pragnienie podróżnych i dawała życie całej oazie.

– Na czym polega twoja praca? – spytałem.

– Strzegę długiego sznura, który służy do czerpania wody. Gdyby sznur zaginął, nie sięgnęlibyśmy wody na dnie studni i oaza umarłaby z pragnienia – tłumaczył strażnik studni, jego wielbłąd zaś wstał i zaczął ciągnąć przymocowany do kołowrotu sznur. Po chwili na jego końcu ukazało się wiadro z krystalicznie czystą wodą. Strażnik studni napełnił wodą kamienne poidło. Ueli zaczął gasić pragnienie.

– Bardzo proszę. – Strażnik studni podał mi kubek z chłodną wodą.

Wierzcie mi, najlepsza lemoniada nie smakuje tak cudownie i nie gasi tak doskonale pragnienia, jak woda ze studni, którą piłem w oazie na pustyni.

– Dziękuję – powiedziałem. – Przejechałem całą Afrykę, ale nigdzie nie piłem tak smacznej wody.

– Miło słyszeć podróżnika, który mówi coś takiego – cieszył się strażnik studni. – Ja nigdy nie podróżowałem, całe życie spędziłem w tej oazie.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Nie żal ci, że nie widziałeś innych miast? Siedzenie przy studni nie jest przecież ciekawym zajęciem.





– Wręcz przeciwnie – odpowiedział. – To bardzo ciekawa praca i wcale nie żałuję, że nie zwiedziłem świata.

– Jak to? – zdziwiłem się znów.

– Widzisz, Kazik, każdego dnia odwiedzają mnie podróżni, którzy zmęczeni marszem przez pustynię przybywają tu, by napić się wody ze studni. Opowiadają o swych przygodach, o tym, co widzieli w dalekich krainach. Dzięki temu wydaje mi się czasem, że wiem o świecie więcej niż niejeden obieżyświat. Czy napijesz się jeszcze wody?

– Poproszę. – Oddałem strażnikowi studni pusty kubek.

– Opowiedz mi, proszę, o kraju, z którego przybywasz. Jak on się nazywa? Polska? Nie spotkałem jeszcze nigdy podróżnika z tego kraju.

– Chętnie opowiem ci o Polsce. Przynajmniej w taki sposób będę mógł odplacić za pyszną wodę, którą mnie poczęstowałeś i napiłeś mego wielbłąda – odrzekłem i zacząłem opowiadać strażnikowi studni nieznane mu historie o poznańskich koziołkach, smoku wawelskim i toruńskich piernikach, a on słuchał uważnie i kiwał głową zadowolony.



◦ BURZA PIASKOWA ◦

Postanowiłem przenocować w oazie i następnego dnia rano kontynuować wędrówkę ku morzu. Wieczorem usiadłem przy stoliku w kawiarni i popijając herbatę, rozłożyłem na stoliku mapę Sahary. Zacząłem planować trasę do miejscowości Uargla, którą musiałem pokonać następnego dnia. Wtedy podszedł do mnie człowiek i przedstawił się jako przewodnik.

– Podróżniku, jeśli chcesz bezpiecznie przebyć tę trasę, powinieneś skorzystać z moich usług – powiedział.

– Do tej pory sam świetnie sobie radziłem podczas podróży – odrzekłem.

– Być może – odparł przewodnik – ale ten odcinek pustyni jest wyjątkowo trudny. Nie ma dróg, żadnych drogowskazów, bardzo łatwo zmylić szlak pośród piasków. Z moją pomocą na pewno bezpiecznie dotrzesz do Uargli. Nikt tak dobrze jak ja nie zna pustyni.



– Skoro tak mówisz, dobrze. Ile będzie mnie kosztować twoja pomoc? – spytałem.

– Jeśli zapłacisz mi pięćdziesiąt franków, przeprowadzę cię bezpiecznie przez Saharę.

– Zgoda! Zatem jutro rano ruszamy w drogę – odrzekłem.

Ruszyliśmy o świcie. Przodem maszerował przewodnik, za nim Ueli, za Uelim zaś ja. Tak było rankiem, koło południa bowiem to ja maszerowałem przodem, za mną Ueli, a za Uelim przewodnik, który nie nadążał za nami i zostawał wciąż w tyle.

– Nie tak szybko, Kazik! Poczekajcie na mnie! – wołał.

– Panie przewodniku, szybciej – poganiałem go. – Jesteśmy na pustyni, tu nie wolno się ociągać.

Po południu niebo zasnuło się ciężkimi chmurami, silny wiatr zaczął mieść piaskiem.

– Nadciąga burza piaskowa! Jesteśmy straceni – lamentował przewodnik. – Podczas burzy na pewno zgubimy drogę.

– Siadaj na grzbiecie mojego wielbłąda, przewodniku, i o nic się nie bój – powiedziałem. – Poprowadzę naszą karawanę.

Okryłem twarz chustą, by nie nawiało mi piasku do ust i nosa, nałożyłem okulary i chwyciłem mocno sznur przymocowany do uprzęży mojego wielbłąda. Ruszyliśmy. Wokół nas rozszalało się tymczasem piekło. Dał straszny wichur, tumany piasku unosiły się z ziemi i zakrywały słońce, my jednak uparcie brnęliśmy przed siebie, wciąż w tym samym kierunku. Po jakimś czasie wycie wichru przycichło nieco, poprzez chmury wyjrzało słońce. Nagle usłyszałem odgłos głośnego chrapania. Odwróciłem

się i ujrzałem, że przewodnik ułożył się na grzbiecie wielbłąda i chrapie w najlepsze.

– Śpij, śpij – mruknąłem – ale niech ci się nie śni, że dostaniesz ode mnie zapłatę za pomoc w przeprawie przez pustynię...

– Chrrrr... chrrr... – usłyszałem tylko w odpowiedzi. Przewodnik spał jak kamień.

– Chodź, Ueli. Burza minęła, najgorsze za nami. – Pogłaskałem mojego dzielnego dromadera po pysku.

Widok zachodzącego po lewej stronie słońca upewnił mnie, że zmierzamy we właściwym kierunku. Poprowadziłem swą małą karawanę poprzez wydmy wprost na północ, ku morzu.



◦ DOBRA CENA ◦

Miejscowość Uargla była ostatnim przystankiem na drodze prowadzącej do leżącego nad morzem Algieru, gdzie planowałem zakończyć afrykańską podróż. W końcu przyszedł dzień, w którym musiałem rozstać się z wiernym dromaderem Uelim. Nie wezmę go przecież na statek, nie zabiorę do Polski. Co powiedziałyby przywykłe do pustynnego klimatu zwierzę na widok polskiej zimy i śniegu?!

Ujrzałem idącego środkiem ulicy chłopca, który prowadził młodego wielbłąda. Postanowiłem poradzić się go w sprawie sprzedaży mojego kochanego garbusa.

– Witaj. Czy wiesz, gdzie mógłbym sprzedać mego dromadera? – spytałem malca.

– Oczywiście! – odparł. – Jest w mieście dwóch ludzi, którzy mogliby kupić od pana wielbłąda. Pierwszy to kupiec Brahim, który potrzebuje wielbłądów do transportu towarów. Drugim człowiekiem jest Stary Ali, hodowca wielbłądów, który mieszka

po drugiej stronie miasta, ale Stary Ali na pewno nie zaferuje tak dobrej ceny, jaką zapłaci panu kupiec Brahim.

– Dziękuję ci za dobrą radę – podziękowałem chłopczykowi i poprowadziłem garbusa do sklepu kupca Brahima.

Weszliśmy przez szeroką bramę na zastawione skrzyniami podwórze. Kupiec Brahim wyszedł przed swój sklep i pozdrowił mnie z daleka.

– Dzień dobry – ukloniłem się.

– Witaj, masz pięknego dromadera, panie podróżniku – powiedział Brahim i podrapał się po swym wielkim brzuchu.

Wtem naszą rozmowę przerwał dochodzący z ulicy zgiełk. Długi szereg wielbłądów dźwigających ciężkie pakunki na swych grzbietach pojawił się w bramie i przemaszerował przez podwórze do znajdującej się na tyłach sklepu zagrody. Biedne zwierzęta wyglądały na wycieńczone długim marszem, były tak wychudzone, że widać im było wystające żebra.

– Oho, mój syn wraca z towarami – oznajmił kupiec Brahim, wskazując młodzieńca, który strzelał z długiego bata i głośnym krzykiem poganiał karawanę.

Przyglądający się tej scenie Ueli westchnął ciężko. Pogłaskałem go po szyi.

– Przyszedłem, by sprzedać mojego dromadera – powiedziałem.

– Zdrowy i silny zwierz – odparł kupiec Brahim, oglądając szczękę Uelięgo. – Dam ci za niego sto franków.

– Interesująca propozycja – odrzekłem.



– Lepszej ceny nie dostaniesz w całym mieście, panie podróżniku – zapewnił kupiec Brahim z uśmiechem.

– Zastanowię się nad nią, dziękuję.

Przed podjęciem decyzji postanowiłem sprawdzić ofertę Starego Alego, hodowcy wielbłądów, o którym wspomniał spotkany na ulicy chłopiec. Udałem się na drugą stronę miasta. Stary Ali stał przed swą chatą i szczotkował drewnianym grzebieniem równie sędziwego co on wielbłąda.

– Witaj, podróżniku – powitał mnie staruszek. – Ten wielbłąd ma na imię Puszek i bardzo lubi, gdy czyści mu się sierść. – Zwierzę z zadowolenia mrużyło oczy.

W zagrodzie obok stały pozostałe dromadery, były zadbane, w kamiennym korycie miały czystą wodę i świeże soczyste siano.

– Dzień dobry. Chciałbym sprzedać mojego dromadera. – Wskazałem na Uelięgo.

– Hm... – zamyślił się staruszek. – Poczęstuj się, proszę, słodkim daktylem. – Wyciągnął otwartą dłoń, na której leżały dwa daktyle, wziąłem jednego i włożyłem do ust. Był wyjątkowo słodki i soczysty.

– Ty także spróbuj, jakie słodkie. – Starzec podał drugiego Ueliemu. Dromader wziął owoc do pyska i zaczął chrupać z zadowoloną miną. Stary Ali tymczasem obszedł mojego wielbłąda dookoła raz, drugi, trzeci, przyglądając mu się ze wszystkich stron bardzo uważnie.

– To piękny osobnik, naprawdę piękny... ale nie mogę dać ci za niego więcej niż dziesięć franków – oznajmił, gdy skończył oględziny.

Zastanowiłem się nad jego propozycją. Kupiec Brahim oferował mi sto franków, tu zaś za tego samego wielbłąda Stary Ali gotów był zapłacić jedynie dziesięć. Spojrzałem na Uelięgo, z którym wspólnie przeżyliśmy tyle ciężkich dni podczas przeprawy przez pustynię.

– Byłeś bardzo dzielny, przyjacielu... Dziękuję ci za pomoc, bez ciebie nie zdołałbym przeprowić się przez Saharę... – Pogłaskałem mojego dromadera na pożegnanie.



Gdy następnego dnia opuszczałem hotel i szykowałem rower do ostatniego etapu podróży, usłyszałem wołanie:

– Hej, czy sprzedał pan swojego wielbłąda?!

Odwrociłem się i ujrzałem tego samego chłopca, który poprzedniego dnia poradził mi, gdzie należy szukać kupca.

– Tak – uśmiechnąłem się. – Dziękuję ci raz jeszcze za dobrą radę. Sprzedałem mego dromadera bardzo korzystnie. Dostałem za niego dziesięć franków i uważam, że to bardzo dobra cena.



◦ TURYSTA ◦

Mżyło, gdy dotarłem do Algieru, kresu mej afrykańskiej podróży. Ludzie chronili się pod parasolami i kryli pod dachami straganów. Tęskniłem za deszczem wielokrotnie podczas wędrówki przez pustynię, gdy na niebie próżno było szukać jednej choćby chmurki, toteż z olbrzymią przyjemnością spacerowałem po mieście, radując się kapiącymi z góry kroplami wody. Parasol? Parasol jest dobry, by osłonić się przed słońcem, ale na co człowiekowi parasol, gdy tak pięknie pada deszcz?

Skierowałem swe kroki do portu, gdzie nabyłem bilet na statek płynący do Europy. Do rozpoczęcia rejsu została godzina, postanowiłem udać się na ostatni przed powrotem do domu spacer. Deszcz ustał i zza chmur wyjrzało słońce.

– Dzień dobry, wraca pan dziś do domu, prawda? – zagadnął mnie siedzący na ławeczce turysta, gdy przechodziłem obok.

– Jak pan się tego domyślił? – spytałem zaciekawiony.

– Przechadza się pan uśmiechnięty, zadowolony, zerka co chwila na statek, jakby w obawie, że panu ucieknie. – Turysta wskazał na stojący w porcie wielki okręt pasażerski.

– To prawda – roześmiałem się. – Wracam dziś do domu z długiej podróży.

– A ja rozpoczynam właśnie swą podróż. Jutro ruszam terenowym automobilem na poszukiwanie prawdziwej Afryki – odrzekł turysta. – Czy są tu dobre drogi automobilowe? – spytał.

– Znajdzie pan drogi, owszem – odpowiedziałem – ale jeśli chce pan zobaczyć prawdziwą Afrykę, radziłbym trzymać się jak najdalej od głównych szlaków automobilowych.

– Jak to? – zdziwił się turysta.

– Jadąc automobilem po głównej drodze, zwiedzi pan Afrykę, ale nie pozna jej najpiękniejszych tajemnic – odpowiedziałem.

– Z okien samochodu ujrzy pan dzikie zwierzęta przy drodze, ale dopiero pośród bezkresnej sawanny i w gąszczu dżungli można przyjrzeć się z bliska ich codziennemu życiu. Zapuszczając się w dzikie, zdawałoby się, krainy, trafi pan niespodziewanie do wiosek, w których spotka gościnnych mieszkańców Afryki i pozna ich ciekawe obyczaje. Z dala od wytyczonych tras, pośród pustkowi i bezdroży, ukażą się pana oczom cudne krajobrazy, jakich nie ma nigdzie indziej na świecie. Nie będzie to łatwa wycieczka, ale proszę mi wierzyć, warto pokonać wszelkie trudy, żeby poznać ten piękny i interesujący kontynent.

– Dziękuję za dobrą radę, będę o niej pamiętał podczas mej podróży przez Afrykę – podziękował turysta.

Rozległo się przeciągłe buczenie syreny okrętowej, dawano sygnał do rozpoczęcia rejsu. Portowy dźwig prznosił na statek pakunki z bagażami, wśród których był także mój rower.

– Muszę iść, bo rzeczywiście ucieknie mi statek. Życzę udanej i bezpiecznej podróży po Afryce. – Ukłoniłem się.

– Ja zaś życzę panu szczęśliwego powrotu do domu. – Turysta pomachał mi ręką na pożegnanie.

Wszedłem po trapie na pokład. Zawarczał potężny silnik okrętowy, statek odbił od brzegu. Stanąwszy na rufie okrętu, wpatrywałem się w znikający w oddali ląd.

– Chciałbym jeszcze kiedyś wrócić do Afryki – westchnąłem.

Potężna śruba silnika pracowała, zostawiając spieniony ślad na wodzie, a statek bujał się lekko to w lewo, to w prawo, to w prawo, to znów w lewo...





◦ POWRÓT DO DOMU ◦

Lokomotywa zagwizdała przeciągle i pociąg wtoczył się ze stankotem na poznański peron. Wyskoczyłem z wagonu i omal się nie przewróciłem, gdy synek rzucił mi się na szyję.

– Tata wrócił! – wykrzyknął.

– Ależ urosłeś, synku – wykrztusiłem wzruszony.

Chwilę potem żona i córeczka wpadły w me objęcia.

– Wróciłeś, jak dobrze – powiedziała Marysia.

– Tato, a gdzie twój stary rower? – spytał synek, oglądając nowy rower, który przywiozłem z Afryki.

– Rozleciał się biedaczek w drobny mak – odrzekłem – ale przejadłem się wtedy na Rysia i jechałem dalej, by do was wrócić.

– Co ty opowiadasz, tato? Jak można jechać na rysiu? – śmiał się ze mnie synek.

– Koń, który niósł mnie na swym grzbiecie aż do rzeki Lulua miał na imię Rys...

– To w Afryce są rzeki? – spytała mnie córeczka.

– Kazik, przecież ty nie potrafisz jeździć konno – mówiła Maryś.

– Tak, w Afryce jest bardzo wiele rzek, żeglowałem po nich łodzią, a konno nauczyłem się jeździć na farmie pana Wiśniewskiego. Mało tego, nauczyłem się także jeździć na dromaderze.

– Łodzią? A skąd miałeś łódź? Co to jest dromader? A co to za wisiorek?

– Łódź kupiłem od tubylców, dromader to wielbłąd z jednym garbem, a ten amulet otrzymałem w prezencie od czarownika z plemienia Abasalampasu – starałem się odpowiedzieć na wszystkie pytania dzieci.

– Salampasasu? Co to za dziwna nazwa? – śmiał się synek.

– Co to jest amulet? – pytała córeczka.

– No, wystarczy tych pytań, dzieci – przerwała rozmowę Marysia. – Chodźmy do domu. Obiad czeka, a tatuś na pewno jest bardzo głodny.

Musicie wiedzieć, że moja Maryś wspaniale gotuje i nie mogłem się doczekać, kiedy znów skosztuję jej specjałów.

– Chodźmy, jestem tak głodny, że zjadłbym słonia w całości – żartowałem.

– Tato, a czy w Afryce jadłeś słonia? Jak smakuje słoń? Czy jest słodki? A może gorzki? – dopytywały wciąż moje dzieciaki.

Udaliśmy się do domu. Cieszyłem się na myśl, że wszystkie afrykańskie historie będę mógł opowiedzieć żonie i dzieciom na dobranoc. Jak dobrze, że przywiozłem tak wiele zdjęć, gdyby nie one, trudno by było uwierzyć, że wszystkie te przygody przydarzyły mi się naprawdę.

◦ NAJWIĘKSZY SKARB ◦

Wróciłem i jestem naprawdę szczęśliwy, bowiem człowiek, nawet jeżeli jest podróżnikiem, nigdzie nie czuje się tak dobrze, jak w domu z rodziną. Tak, tęsknię za Afryką i podróżami, przyznaję. Wieczorem, gdy kładę się w łóżku i spoglądam w sufit, odzywa się czasem tęsknota za afrykańskimi nocami spędzonymi przy ognisku pod gołym niebem. Wychodzę wtedy na dach domu, siadam, spoglądam na gwiazdy nad Poznaniem i wyobrażam sobie, że znów jestem w Afryce, pośród czarodziej-skich krain pełnych dzikiego zwierza.

Sporo czasu spędzam, jeżdżąc od miasta do miasta i prezentując zdjęcia wykonane podczas wyprawy. Wiele osób przychodzi na te pokazy, by słuchać mych opowieści, ja zaś z przyjemnością opowiadam im o dalekiej Afryce i jej skarbach.

Na jedno z takich spotkań przyszedł chłopiec. Usiadł w pierwszym rzędzie i z zapartym tchem oglądał zdjęcia, które prezen-

towałem, a gdy skończyłem opowieść, podniósł rękę i zadał pytanie:

– Czy znalazł pan w Afryce skarby? Takie prawdziwe?

– Podobno w Afryce można znaleźć złoto! – wykrzyknął zaraz ktoś inny.

– Czy znalazł pan złoto?

– Czy dużo pan polował?

– Przywiózł pan myśliwskie trofea?

– Skóry zwierząt?

– Kły słonia?

Ludzie przekrzykiwali się nawzajem. Z uśmiechem wysłuchałem wszystkich pytań, po czym odrzekłem:

– Moi drodzy, powiem prawdę. Ani złota nie szukałem, ani trofeów nie przywozłem. Polowałem wprawdzie wiele, ale z aparatem fotograficznym, a nie ze strzelbą, żal mi bowiem było niszczyć wspaniałą afrykańską przyrodę, którą widzieliście przed chwilą na zdjęciach.

– To co ciekawego przywiózł pan z Afryki? – zadał znów pytanie dociekliwy chłopiec.

– Najważniejsze, co przywozłem z podróży, to wspomnienia. Największym skarbem są dla mnie te zdjęcia, które oglądacie, te opowieści, których słuchacie. Nie zdobycie bogactw jest najważniejsze w podróżowaniu, ale rzeczy, które zobaczycie, i ludzie, których spotkacie.

– I dlatego warto podróżować? Żeby spotkać innych ludzi?

– zdziwił się chłopiec.



– Tak – odrzekłem – bo od innych ludzi zawsze dowiesz się wielu ciekawych rzeczy.

Chłopiec zastanawiał się nad moimi słowami przez chwilę, po czym powiedział:

– Gdy dorosnę, także chciałbym zostać podróżnikiem.

Uśmiechnąłem się.

– Już jesteś małym podróżnikiem – powiedziałem. – Przyszedłeś na prezentację zdjęć z Afryki, jesteś ciekawy świata i zadajesz mnóstwo pytań. To bardzo dobrze. Gdy ruszysz w drogę, też będziesz zadawał mnóstwo pytań, a wtedy... wtedy na pewno spotka cię coś ciekawego.





– ...a wtedy... wtedy na pewno spotka cię coś ciekawego – wyszeptał chłopiec, powtarzając w myślach ostatnie zdanie książki, kiedy w pokoju rozległo się pukanie.

– Halo, czy jest tu ktoś? – Przez uchylone drzwi zajrzał dziadek.

– Tu jestem! – Krzyś wychylił się zza łóżka.

Chłopiec leżał na dywanie obok rozłożonej książki.

– Podróżujesz przez Afrykę? – spytał dziadek, siadając na łóżku.

– Właśnie skończyłem – odparł chłopiec i usiadł po turecku na dywanie. – Kazik wrócił szczęśliwie do domu i zorganizował pokaz zdjęć przywiezionych z Afryki – wyjaśnił.

– Tak, to była wówczas prawdziwa sensacja. W tamtych czasach nie było jeszcze telewizji – zadumał się dziadek.

– Pamiętasz te czasy, dziadku? – zainteresował się Krzyś.

– Oczywiście – potwierdził dziadek. – Byłem w twoim wieku, gdy udałem się na spotkanie ze słynnym podróżnikiem Kazimierzem Nowakiem. Siadłem w pierwszym rzędzie i z zapartym tchem podziwiałem zdjęcia, które prezentował. Wtedy właśnie postanowiłem, że będę się starał w życiu jak najwięcej podróżować.

– Dziadku, ty także byłeś w Afryce, prawda?

– Tak, wnusiu, i widziałem tam cudowne rzeczy – zaczął wspominać dziadek. – W tropikalnym lesie obserwowałem goryle, stada słoni kąpiące się w rzece, zwierzęta, jakich nie spotka się nigdzie indziej na świecie. Poznałem ludzi wiecznie uśmiechniętych i radujących się życiem... To magiczny kontynent.

– Magiczny?! A spotkałeś w Afryce czarownika?

– Nie – uśmiechnął się dziadek. – W Afryce trudno dziś znaleźć prawdziwego czarownika.

– A króla? Widziałeś afrykańskiego króla? – dopytywał chłopiec.

– Nie, w Afryce nie rządzą już królowie – wyjaśnił dziadek.

– Przecież Kazik gościł u króla Rwandy! – wykrzyknął Krzyś.

– Tak, ale Afryka bardzo się zmieniła od czasów Kazimierza Nowaka.

Chłopiec zamyślił się.

– A co ty, dziadku, przywozłeś najcenniejszego z Afryki?

– Hm.... – Dziadek zastanowił się. – Najpiękniejsze, co można przywieźć z Afryki, to wspomnienia – odparł po chwili.

– Kazik mówił dokładnie to samo! Czyli nie wszystko zmieniło się od jego czasów! – ucieszył się Krzyś. – Ja też muszę kiedyś pojechać do Afryki, zobaczyć lwy, słonie i małpy na własne oczy! – zawołał i zaczął skakać wokół dziadka niczym małpka, dziadek zaś siedział na łóżku i przypatrywał się wnukowi z szerokim uśmiechem na twarzy.



OD AUTORA O KAZIMIERZU NOWAKU

*K*iedy byłem chłopcem, uwielbiałem słuchać opowieści mojego Dziadka. Wśród nich ważne miejsce zajmowała historia Kazimierza Nowaka, podróżnika, który jako pierwszy na świecie przemierzył Afrykę rowerem i to w czasach, gdy był to niezbadany jeszcze, tajemniczy kontynent.

Kazimierz Nowak pragnął posyłanymi do polskich gazet reportażami i fotografiami z podróży zarobić na utrzymanie mieszkającej w Poznaniu rodziny, żony Marysi i dwójki dzieci: Elżbiety i Romualda. Pociągiem udał się do Rzymu, stamtąd rowerem do Neapolu, statkiem przepłynął się przez morze do Afryki.



W listopadzie 1931 roku ruszył z Trypolisu na południe w głąb afrykańskiego lądu. Na swym szlaku napotkał egzotyczne plemiona Tuaregów, Szilluków, zwiedzał

kopalnie złota, zaprzyjaźnił się z wychowywanym w wiosce misyjnej Remo, gościł na dworze króla Rwandy, w lasach równinowych wspólnie z Pigmejami polował na słonie, wspinał się ku ośnieżonym szczytom Gór Księżycowych. Gdy dotarł do południowego krańca Afryki, postanowił wrócić innym szlakiem, znów samotnie przez cały kontynent. Musiał zmieniać środki lokomocji – gdy wysłużony rower rozsypał się na części, nabył od mieszkającego w Afryce Polaka parę koni i dalej podróżował konno, żeglował czółnem rzekami dorzecza Kongo, na grzbiecie wielbłąda przeprowił się przez Saharę. Gdy po pięciu latach wrócił do Polski, organizował pokazy zdjęć i prelekcje o Afryce. Niestety zmarł w niespełna rok po powrocie i nie udało mu się wydać książki o niezwyklej wyprawie. Historia Kazimierza Nowaka na wiele lat uległa zapomnieniu.



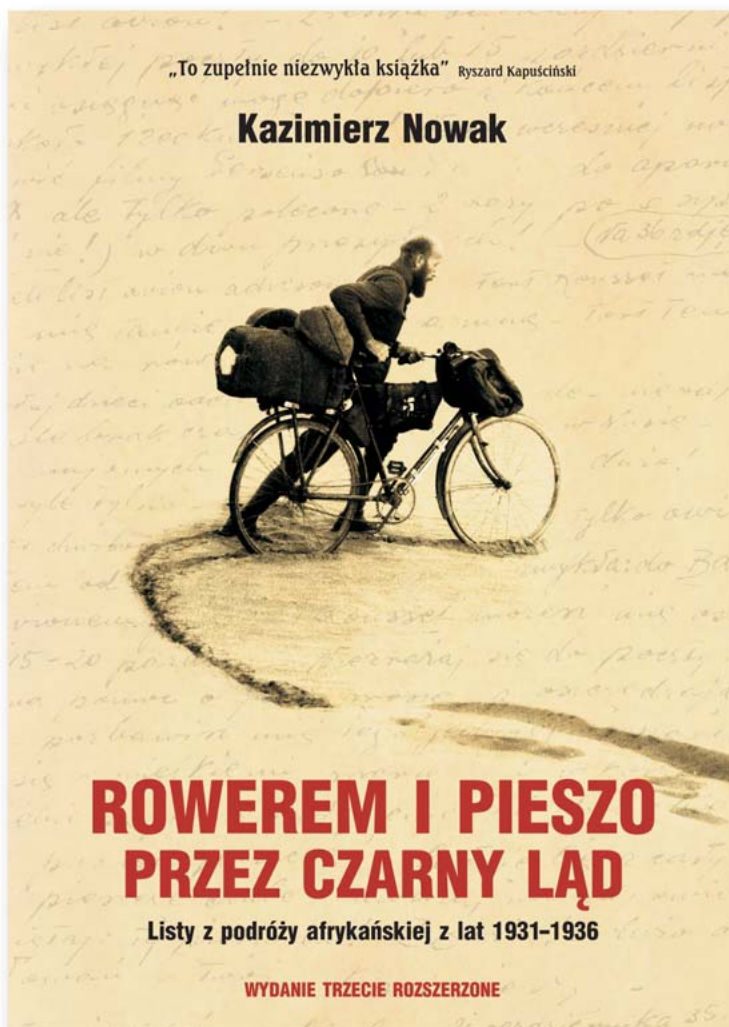
Zaintrygowany opowieściami Dziadka postanowiłem odszukać w archiwalnych gazetach listy Kazimierza Nowaka z Afryki i przypomnieć jego niezwykły wyczyn. Po kilku latach pracy książka „Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd. Listy z podróży afrykańskiej z lat 1931–1936.”, w której zebrałem reportaże Kazimierza Nowaka, była gotowa. Zainteresował się nią znany pisarz Ryszard Kapuściński – w listopadzie 2006 roku przyjechał do Poznania i na dworcu kolejowym odsłonił poświęconą poznańskiemu podróżnikowi tablicę pamiątkową w kształcie Afryki. Tamtego dnia słuchając jego słów zro-



rozumiałem, że musi powstać jeszcze jedna książka o przygodach Kazimierza Nowaka, w której ten nieustraszony i serdeczny podróżnik opowie najmłodszym czytelnikom, czego nauczyła go wyprawa do Afryki, o niebezpiecznych przygodach, obcowaniu z egzotyczną przyrodą i spotkaniach z mieszkańcami dalekich krain.

Łukasz Wierzbicki

WYDANIE TRZECIE ROZSZERZONE



twarda
oprawa

392 strony
156 zdjęć
12 mapek

„Przejęty jestem lekturą książki Kazimierza Nowaka *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*. To zupełnie niezwykła książka ze względu na treść i osobę autora, zasługująca na dużo większą uwagę i szerszy oddźwięk. Rewelacyjna to rzecz, którą włączam jako stałą pozycję do swoich wykładów, rozmów, refleksji na temat reportażu zagranicznego; oby zajęła ona stałe miejsce na listach klasyki polskiego reportażu – czego zresztą jestem od tego momentu sam gorącym zwolennikiem”.

Ryszard Kapuściński, 25 maja 2005 r.

Ryszard Kapuściński

 **Sorus**

Wydawnictwo
i Drukarnia Cyfrowa

księgarnia internetowa:

www.sorus.pl tel. 061 653 01 43

• SPIS TREŚCI •

RUSZAM DO AFRYKI	13
NOC NA PUSTYNI	17
WOJOWNICY	21
CIEMNE OKULARY	25
LIST ZNAD NILU	28
TAJEMNICZE BĘBNY	31
KRÓL ZWIERZĄT	36
ZŁOTODAJNA RZEKA	39
ZUPA	43
POLOWANIE NA SŁONIA	47
NA TARGOWISKU	51
U KRÓLA RWANDY	55
ŚNIEG W AFRYCE	59
REMO I JEGO PRZYJACIELE	63
BOŻE NARODZENIE NA PUSTYNI	67

URATOWANY PRZEZ ŻYRAFY	70
NA KRAŃCU ŚWIATA	74
MOKRADŁA	77
WIO!	80
WODOPÓJ	85
SZALONY STARUSZEK	88
POŻEGNANIE Z KOŃMI	92
ŻEGLUGA	97
ROZBITEK	100
WYSPA HIPOPOTAMÓW	105
MIASTO	109
LEKTYKA	113
W KRAINIE LUDOŻERCÓW	117
CZAROWNIK	121
RANNY GEPARD	125
KARAWANA	129
MĄDRY WIELBŁĄD	133
OAZA	137
BURZA PIASKOWA	141
DOBRA CENA	145
TURYSTA	151
POWRÓT DO DOMU	155
NAJWIĘKSZY SKARB	157
OD AUTORA O KAZIMIERZU NOWAKU	163



ŁUKASZ WIERZBICKI – menadżer kultury, redaktor, mieszka na wsi pod Poznaniem. Kocha podróże, zarówno te dalekie i egzotyczne, jak i rowerowe oraz konne przejażdżki po okolicy. Zainspirowany opowieściami swojego dziadka odszukał i opracował przedwojenne reportaże

Kazimierza Nowaka z wyprawy do Afryki, które opublikowane zostały w książce „Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd”.

Na podstawie tych reportaży powstały opowiadania dla dzieci, zebrane w książce „Afryka Kazika”. Dzięki nim młody czytelnik może poznać niezwykłego podróżnika, który w latach trzydziestych XX w. przemierzył Afrykę na rowerze. Barwne spotkania z mieszkańcami Czarnego Lądu i dziką przyrodą, mrozące krew w żyłach, a niekiedy zabawne przygody z pewnością zainteresują każdego, kto jest ciekawy świata i pasjonujących historii.



patronat



bromba.pl
Serwis internetowy



PORTAL
KSIĘGARŃKI
www.książka.net.pl



POZNAŃSKIE
SPOTKANIA TARGOWE
Książka dla Dzieci Młodzieży

NEXTO

Zamówienie numer: 2869126